...GUE
...WIŚĆ
...I ŻA...

NIENAWISC
LUDZI i ŻAL
KOMEDYA
w pięciu
AKTACH
przez KOTZEBUE.
z Niemieckiego przerobiona
Przez A. L.



w KRAKOWIE 1796.

w Drukarni JANA MAJA.

OSOBY

JENERAŁ WESOŁOWSKI.
JENERAŁOWA żona iego.
MAIOR PRAWDZICKI brat Jenerałowey.
SYNEK Jenerała maiący lat 5.
CIEMNOWIDZ ekonom w dobrach Jenerała.
JAKOB syn iego.
ELEONORA ukryta pod nazwiskiem Pani Betty.
NIEZNAIOMY.
DZIECI tegoż, syn i corka około lat 5. maiące.
DOZORCA tychże.
DESPERAT.

Scena we Wsi Jenerała.

AKT PIERWSZY

Okolica wieyska, gdzie niegdzie widać chałupy.

SCENA PIERWSZA

CIEMNOWIDZ i JAKOB *Syn Jego.*

CIENOWIDZ.

Poydź sam, moy Synu, muszę z tobą o iedney ważney rzeczy pomowić, już masz lata potemu.

JAKOB.

Dobrze kochany Oycze! ale proszę cię, żebyś mnie, nie tak często wyśmiewał: To gadam za wiele, to ga-

dam za mało, a kiedy czasem sam z sobą gadam, nazywasz mnie w tedy gawronem; a ia z tem wszystkiem nay-chętniey z sobą samym rozprawiam, bo ia siebie znam naylepiey, i sam siebie nigdy niewyśmieię. — Pfe śmiać się z kogo!

CIEMNOWIDZ.

Nie o tem teraz mowa — Lecz żeby do rzeczy przystąpić, wyznay mi czyli dobrze poznałeś Jmć Panią Betty, mieszkaiącą u nas w Pałacu Pańskim?

JAKOB.

Ah Jeymość Panią Betty, a iakże nie? — O kiedy ta mnie czasem wyśmieie, to ia się nie gniewam; ona buzię tak prześlicznie ułoży, żeby kto rozumiał, iż cukierek liże.

CIEMNOWIDZ.

Ale nie uważałeś, czyli na cię czasem miło niespoyrzała? Nie wyczytałeś w iey pięknych oczach iakiego sentymentu?

JAKOB.

Kto? Ja nic o tem nie wiem, tego nie rozumiem, co to ieſt sentyment?

CIEMNOWIDZ.

Moy synu, sentyment znaczy uczucie, ale to oſtatnie słowo, iak mi Państwo moi powiadali (boć ia na wielkim niebyłem świecie,) ieſt słowo prawie zarzucone, sentyment zaś, ponieważ z iednego z modnych ięzykow pochodzi, wszędzie ieſt przyięte. — Sentyment (myśli) ieſt to życie duszy i serca (myśli) ieſt to ogień ktory krew pali i trawi. — Jeſt to czasem i cicha woda brzegi wyrywaiąca; ſtopnie sentymentalne są rozmaite. Ale dosyć na ciebie tego, moy Kubo, bo byś wszyſtkiego zarazem niepoiął.

JAKOB.

Prawda, że mało co zrozumiałem.

CIEMNOWIDZ.

Nic to nieszkodzi, ale posłuchay te-

raz — Mnie się zdaie, iż Pani Betty, miluchno na ciebie spogląda, coś tam w iey sercu musi bydź ukrytego.

JAKOB.

Na mnie? Bydź może, albożem nieładny, Tatulu?

CIEMNOWIDZ.

Więc tedy moy synu, ftaray się nadewszyftko przypodobać Pani Betty, nadskakuy iey w każdey okoliczności, usługuy, gdy się zdarzy, i tam daley. Zebrałem, licząc uftawicznie grosze, pewną sumkę dla ciebie, i mam w głowie proiekcik.

JAKOB.

Ach! co za szczęście ale, słuchay Oycze: nie, nie powiem (myśli) ey, albo powiem nareście.— Dnia wczorayszego wieczorem, Pani Betty, kiedy iuż o niey mowiemy, Pani więc Betty, tak nie, tak dnia wczorayszego, Pani Betty kiwnęła na mnie. — Kiedy iey rączka kiwnie, ruszyć się z mieysca,

ſtanąć przed iey obliczem, to chwila dla mnie. Stanąłem tedy, aż o to ona daie mi worek z pieniądzmi.

CIEMNOWIDZ.

Jak, iak, dała ci worek pieniędzy, tobie?

JAKOB.

Ale moy Oycze nie przerywaycież mi, na czemże ſtanąłem?

CIEMNOWIZD.

Dała ci worek.

JAKOB.

Aha! dała mi worek pieniędzy i rzekła: weź to, i zanieś ſtaremu Tobiaszowi na wieś, iutro raniuteńko to ieſt dzisiay, biedny ſtaruszek, nie ma może teraz chleba, niechże go sobie kupi. — Kiedy Pani Betty wdzięczną twarzyczkę okaże, przez rowy i błota biegnę iak zaiąc, a to nawet, za darmo. — Powiada potem, kochany Panie Jakobie bądź WPan tak grzeczny, i niemow nic otem nikomu,

Kochany Panie Jakobie! bądź W Pan tak grzeczny, he, he, he, gdy to wyrzekła, tak właśnie mi było, iak gdyby mnie coś pobokach łechtało.

C i e m n o w i d z.

A wykonałżeś to iey zlecenie, sprawnie i dobrze?

J a k o b.

Jakże nie Oycze, czy wątpisz? Byłem u starca Tobiasza i oddałem pieniądze. — Niedość na tem: powracaiąc, spotykam tego nie dalego tu mieszkaiącego mruka. — Chciałem z nim pomowić; ledwo na mnie spoyrzał i poszedł precz; zachwilę potem byłem znowu u Tobiasza. — Dziaduś płakał z radości, i ia ledwo nie zapłakałem. Dla czego spytałem? — Powiedział mi, iż go ten Pan nieznaiomy, ten mruk, o ktorym dopiero wspomniałem, sowicie poratował i z nędzy wydobył. — Co wy na to? Oycze?

CIEMNOWIDZ.

A dowiedziałżeś się, kto on iest, ten Jegomość?

JAKOB.

Ba! o tem Jegomości żadna żyiąca dusza podobno nic niewie.

CIMNOWIDZ.

O toż, ia będę naypierwszy, ktory się o wszystkim dowiem.

JAKOB.

O! wątpie bardzo, gdzie młody Jakob nic nie wskurał, tam Tatulo...

CIEMNOWIDZ.

Milcz to moie staranie. — Teraz pospieszay do Pani Betty z doniesieniem.

JAKOB.

Dobrze, dobrze, a ledwom też nie zapomniał; ale Oycze przypominam sobie, iż podobno nikomu o tem powiadać nie miałem, a ia ieźli się nie

myle wszystko prawie wybaiałem przed wami; no nie wydaycież mnie Oycze.— Biegnę i biegnę.

CIEMNOWIDZ.

Nieszkodzi to nic, nieszkodzi, idź tylko idź, a na przestrogi moie pamiętay *(Jakob odchodzi)*

SCENA II.

CIEMNOWIDZ SAM.

CIEMNOWIDZ.

Dobry z niego będzie chłopczyna, prawda iż mazgay nieco, ale się z czasem wykrzesze. Teraz potrzeba będzie, zayrzeć do domu, przeliczyć Pańskie intratki, poyśdź do stodoł, śpiklerza, i tam daley. — Ale nie, zatrzymam się ieszcze, może niechcący, cokolwiek przynaymniey, o tym osobliwym Mościom Panie odkryię, ktory

od kilku Miesiecy tu przywędrował, i zamieszkał. — Wydać się niechce kto on iest, czym iest, zkąd iest, iaki cel iego, zkąd przyszedł, dla czego tu osiadł? — Szpleguię ile sił moich, a wybadać nie mogę kto ten dziwaczny Jegomość, ten Tetryk, ten cień człowieka; ale o to widzę, on się tu zbliża, skryymy się, może się nie iedno na iaw wydobędzie. *(Kryie się za drzewo)*

SCENA III.

NIEZNAIOMY i DOZORCA

DZIECI TEGOŻ.

DOZORCA.

Wybacz Panie, co w tem, to bynaymniey zdania twego nie iestem.

NIEZNAIOMY.

Mnieysza o to, niechcę się kłocić.

DOZORCA.

Przyiacielu! tak Wacpana iuż nazwać muszę. Wyniesiony nad przesąd, nad podłe uprzydzenie, gdyś mi twe dzieci, kleynot naydroższy oddał pod dozor, chciałeś abym cię przyiacielem nazywał; przyiacielu zatem, możeżli cię to urażać, że zimną krwią ponure myśli, ktore cię wszędzie ścigać zdaią się, rozpędzić usiłuię? — Nazywasz to kłotnią, sprzeczką.

NIEZNAIOMY.

Dosyć iuż tego, wierzę w przyiaźń, i ufam przyiaźni.

DOZORCA.

Zacny Mężu, w ktorego serce natura z dobrocią chęć rzetelną służenia bliźnim wlała, iakaż cię mara prześladuie? czemuż nienawidzisz ludzi?

NIEZNAIOMY.

Z pochwałami milczeć proszę, i nie szydzić ze mnie. — Wreście co za pytanie?

DOZORCA.

Daruy, na przymowkę tak groźną nie zasłużyłem.

NIEZNAIOMY.

Przepraszam przyiacielu, prędki ieſtem. . . .

DOZORCA.

Prędki i nadto prędki w sądzeniu źle o ludziach, z tem wszyſtkim dobroczynny. . .

NIEZNAIOMY.

Ja?

DOZORCA.

Wszak nieraz byłem świadkiem, kiedy się dobrotliwa twa ręka, na wspomożenie ubogiego otwierała, kiedy się na widok nędzy i ucisku serce twoie kraiało. — Wszak Dobrodzieyſtwa wdzięczność ciągną za sobą?

NIEZNAIOMY.

Nie prawda?

DOZORCA.

Ale uszczęśliwiaia bardziey dawcę niżli odbieraiącego?

NIEZNAIOMY.

Co to, to prawda.

DOZORCA.

Szczęśliwym zatem W Pan z wielu miar iesteś.

NIEZNAIOMY.

Podchwytuiesz mnie.

DOZORCA.

Podchwytuię? chceszże W Pan, bym mu przykłady przytaczał. — Dzień dzisieyszy na przykład wspomniy go sobie, kiedyś tak szczodrobliwie wyrwał biednego z nędzy starca, idąc za natchnieniem własnego serca i przykładem Pani Betty.

NIEZNAIOMY.

Ktoż ona iest? ta Pani Betty, dla czegoż ią zawsze przed sobą znayduię;

gdzie tylko przyydę, ona iuż tam była?

D o z o r c a.

Cieszyć się z tego należy.

N i e z n a i o m y.

Cieszyć.

D o z o r c a.

Że dusz dobroczynnych więcey znayduie się na świecie.

N i e z n a i o m y.

O tak.

D o z o r c a.

Poznać ią ſtaraćbyś się powinien.

N i e z n a i o m y (*z urąganiem)*

Dla czegoż nie zaślubić ią sobie?

D o z o r c a.

Czemuż nie, ieśli masz ochotę. — Widziałem ią kilka razy w ogrodzie. — Piękna kobieta. . . .

NIEZNAIOMY.

Tem gorzey, piękność iest maską.

DOZORCA.

W Jey osobie, zdaie się bydź zwierciadłem iey dobrodzieystwa.

NIEZNAIOMY.

Ach! nie mow nic o iey dobrodzieystwach; błyszczeć chcą wszystkie kobiety w Mieście dowcipem, na Wsi sercem.

DOZORCA.

Nadto ogolnie W Pan sądzisz i mowisz.

NIEZNAIOMY.

Bynaymniey, znam dobrze ludzi dali mi się we znaki.

DOZORCA.

Nie, przyiacielu! nienawiść twoia przeciwko rodzaiowi ludzkiemu, rodzi częstokroć niesprawiedliwie niedowierzania.— Piastuiesz w twym sercu-

cu

cu węża, ktory cię gryzie, a ktorego wytępić zwycięzkim umysłem powinienbyś.

Nieznaiomy. *(Z zapałem.)*

Znam dobrze ten rodzay iaszczurcy, iad tych żmiy nikczemnych wzburzył krew moią. — Nie sposob milczenia mego, nie, iest nie sprawiedliwy; proszę cię nic więcey o tem, zostaw mnie samego, a powroć do moich dzieci.

Dozorca.

Do twoich dzieci Panie!

Nieznaiomy.

Tak iest. — Tam tylko ieszcze serce mnie ciągnie, ziemia procz nich, iuż więcey dla mnie nie ma powabow.

Dozorca.

Idę pełniąc twoią wolą, przygotować się do odiazdu. — Ale dla Boga roztrząśmy przyiacielskie rady. — Chęć opuszczenia świata, w głowie twoiey

nie w sercu zagnieździła się. — Wszak zobaczemy się ieszcze?

N I E Z N A I O M Y.

Zobaczemy. (*Dozorca odchodzi*)

S C E N A IV.

NIEZNAIOMY *sam* (*w myślach zanurzony.*)

Wszędzie, w każdym kroku cień utraconego, szczęścia ściga mnie. — Niestety! na burzliwym morzu świata tego wycierpiałem nieznośnie. — Nadzieie naymilsze, nadzieie życia moiego pogrążone widziałem. (*pauza*) nic mi nie zostało, tylko straty pamiątka, pamiątka kalecząca srodze, czułe to serce. Nie, niech mowią co chcą mędrcy świata tego, nie zawsze człowiek, iest przyczyną swoiey niedoli. — Nie, tyś moim świadkiem o Boże! złość chytrość, i przewrotność ludzi

przyczyną są mego nieszczęścia. — Nie ia. — Ah! gdyby czas rezygnacya, i przyzwyczaienie mogły przytępić te ciosy, ktore mnie rażą, i dotkliwey zmnieyszyć czułości. — Ale to prożna nadzieia, i smutne tylko obrazy, ktore mi myśl zwodnicza w dalekiey kreśli perspektywie. (*Pauza wielka, przechodzi się.*)

SCENA V.

NIEZNAIOMY i DESPERAT.

DESPERAT. (*Z pistoletem w ręku bieży z rozpaczą do Nieznaiomego.*)

Pieniądze albo życie!

NIEZNAIOMY. (*Mierzy go wzrokiem, i bynaymniey niewzruszony.*)

Pomieszanie i rozpacz, podobno zmysły ci odbiera; nie tam, tu, tu, mierz, tu ieſt serce niebaczny (*pokazuie mu lewą stronę*) czemuż się opoźniasz?

DESPERAT. (*Upuszcza pistolet*)

Co widzę? Co słyszę? Nie ustraszony! ah! znam i ia mieysce, gdzie iest fortka śmiertelna i w ktorą ugodzić należy. (*Podnosi pistolet z rozpaczą i ku sercu swemu obraca.*

NIEZNAIOMY. (*Wydziera mu go.*)

Stoy.

DESPERAT. (*Zawstydzony*)

Wspaniało myślny, bronisz mi, bym strapionego życia dni skończył. — Odday mi, zaklinam cię, odday mi ten klucz do wieczności, niech śmiercią moią zamysł zbrodniczy zagładzę. — Zaklinam cię odday mi go.

NIEZNAIOMY.

Pomyślałześ nad tem, co czynić zamyślasz?

DESPERAT.

O Zimny człowieku, nie rozdzieray bardziey mey rany, tu nie myśleć, tu

działać należy; czyż człowiek łańcuchami do życia ma bydź przykuty? — Piłem z kielicha goryczy, teraz gwałtem wydrzeć się musze z domu, ktory i tak iuż iest bliski obalenia.

NIEZNAIOMY.

Patrz w niebo, i na ziemię.

DESPERAT.

Dręczysz czułość moią twoią krwią zimną: (*Myśli*) wszak niepewna, by się tam kto nad gwiazdami znaydował. — Ale tak, głos boiaźliwy wznosi się w mey duszy. — Jest iest tam wysoko sędzia nad nami. (*Pauza*) Nie, nie, niemasz tam nikogo; niemasz (*z przyciskiem*) bo ia tak chcę; niemasz tam nikogo. — Ale z tem wszystkim gdyby był, ach! biada mi tyś przyczyną wachania, i zwłoki moiey. — Umrzeć ah! czemuż to słowo, co moment reflexyi, tak zimno teraz po mych kościach przechodzi! Umrzeć? Oddać rachunek naywyższemu z sędziow (*z wielkim poniżeniem*) a ieżeli sprawiedliwy, — ieżeli sprawiedliwy, osobli-

wszy mężu, na ktorego twarzy ślady nie pospolitego wzruszenia wyryte widzę, poratuy mnie. — Poratuy mnie.

NIEZNAIOMY.

Daruy moiey niespokoyney ciekawości. — Przywięzuiesz cię co do ziemi?

DESPERAT.

O Nieba! gdyby nie to przywiązanie, iuż na ten czas żadna moc ludzka wstrzymać by mnie od skruszenia więzow życia nie zdołała; mam małżonkę, mam dzieci, tych głos ktory zdaie się że słyszę, naymocniey mnie wstrzymuie.

NIEZNAIOMY.

Nieroztropny! ieżeli więc w głębi serca twego cokolwiek ieszcze cnoty znayduie się, nie pogardzay twem życiem. — Masz małżonkę i dzieci, a zerwać naymilsze węzły, podeptać naycelnieysze obowiąki zuchwale przedsięwziąłeś. Czyliż nie wiesz zapamiętały, iż kroku posunąć nie możesz, w ktorymbyś do dopełnienia ia-

kiego obowiązku nieznalazł. Człowiek każdy użyteczny ieſt ludzkości, przez to samo że żyie. — Wyrwałeś mi z uſt te słowa, wyrywasz czułości moiey ten dowod, iż ieszcze nie wszyſtkie uczucia w sercu moim wygasły. *(Daie mu worek z pieniądzmi.)*

DESPERAT.

Wspaniała duszo! chcesz więc koniecznie krwawe rany moie zagoić, i radą i wsparciem. — Prześladowany tak długo od okrutnych losow, znayduię przecież pierwszego dobrodzieia. — Od młodości moiey wyſtawiony na sztych nieprzyiazney fortuny, nie zakosztowałem pokoiu w mey duszy; szły pasmem iedne po drugich nieszczęścia, ktorych wspomnieniem, rozrzewniać cię nie chcę. — Teraz niedawno ogień ſtraszliwy obrociwszy w perzynę oſtatnią własność moią, naysłodszych mnie pozbawił nadziei. — Zoſtawałem z żoną i dziećmi bez dachu i chleba, kiedy mi rozpacz nayczarnieysze maluiąc widoki, piekielne podszepnęła sposoby do wybrnienia z przepaści. — Jść

w brew świętym natury ustawom przedsięwziąłem. — I w tym stopniu zapamiętania znaydowałem się, kiedy mnie tu szalone zaniosły kroki. — Daruy cnotliwy mężu, daruy obłąkaniu moiemu.

NIEZNAIOMY.

Chętnie bardzo, a teraz powroć do siebie, iuż dosyć nasłuchałem się, poratuy familiią.

DESPERAT.

Dozwol przynaymniey ostatnie złożyć ci dziękczynienia.

NIEZNAIOMY.

Nie potrzeba.

DESPERAT.

Ale czemuż tak ozięble przyymuiesz?

NIEZNAIOMY.

Już dosyć tego. Te słowa prożne, grzeczność światowa dyktuie. — Spiesz

W Pan mowię do domu, chcesz bydź wdzięcznym, dobrze, niechcesz nim bydź, mnieysza o to.

DESPERAT.

Co za okrutne powątpiewanie!

NIEZNAIOMY.

Bynaymniey. — Cieszę się żem W Panu usłużył.

DESPERAT.

Stokrotne dzięki ci za to. Lecz żebym we wszystkim woli twoiey dopełnił z naytkliwszym duszy poniżeniem, z spokoynością umysłu, ktorą tobie wybawicielu moy winienem powrocę do siebie. (*Chce mu rękę całować*) pozwol.

NIEZNAIOMY. (*wydziera rękę*)

Co czynisz, nie wiem i wiedzieć niechcę, kto iesteś, ale to iest podłością, bez tych wewnętrznych oświadczeń obeydzie się.

DESPERAT.

Ale wszystko mi przywrociłeś, iakże ci odwdzięczę?

NIEZNAIOMY.

Jdź, iuż to słyszałem, iuż odpowiedziałem i dosyć niepowrociłem ci życia, iak mowisz, nie prawda, nie powrociłem ci go.

DESPERAT.

A to iak?

NIEZNAIOMY.

Mowię że nie. Własne twoie serce i boiaźń przyszłości zatrzymały rękę twoią nie ia. — Pamiętay, i na słońce i na śmierć nigdy wprost patrzeć nie można.

DESPERAT.

Docierasz poięciu moiemu, ale serce, serce inaczey czuie.

NIEZNAIOMY.

Bydź to może, ale spiesz się do domu.

DESPERAT.

Jdę iuż idę. — Niech cię nieba bło

gosławią mężu rzadki i naśladowania godny. (*Odchodzi krokiem powolnym*)

NIEZNAIOMY. (*Patrzy na niego, zostaie chwilę zamyślony na scenie i nic nie mowiąc odchodzi.*)

SCENA VI.

CIEMNOWIDZ (*Wybiega z po zaschronienia*)

Otoż tyle wiem teraz, co i przody, co za dziwaczny dobroczyńca. — Ale mowiąc prawdę, i ia w podobnych przypadkach wielkim panom maiątku zazdroszczę. Coś i u niego (*pokazuie na piersi*) tu siedzieć musi. Dla Boga tyle czasu nadaremnie strawiłem; a iuż więcey godziny iak Pani Betty do siebie wołać mnie kazała, chce mi powiedzieć coś nowego; biegnę, lecę, coś nowego, zapewne z gazet Francuzkich. (*Odchodzi prędko*)

SCENA VII.

Teater się odmienia pokoy Eleonory.

ELEONORA (*z książką w ręku wchodzi*)

Luba samotności, nad ktorą dla mnie nic droższgo na ziemi, przerwaną mi dziś zostaniesz. — Spokoyność prawdziwie niezawsze w piersiach samotnego mieszka, gdyż niestety! sumnienie między mury klasztorne, sumnienie i do odludnych pustyń wziąść z sobą trzeba. — Z tem wszystkim wolno mi było do tych czas, gdy frasunek gryzł serce, łez kilka wylać, a nikt czerwoności oczow moich nie widział, i nikt nie zapytał: dla czego płakałaś. — Teraz przyiadą mi na kark, będę przymuszona towarzyszyć im, rozmawiać i śmiać się mimo woli. — Ach! wolałabym, żeby się w mieście zostali byli na balach i klubach, na asamblach i przechadzkach, niechby się

tam sobie przypatrywali, złorzeczyli; gorszyli, i oszukiwali. — J to dzisiay ieszcze, (*patrzy na list*) to mnie mocno dotyka, wyrozumieć z listu niemogę czyli wyiazd ich na wieś momentalnym tylko uburdaniem, czy też układem iest długiego tu przemieszkiwania; ach! tego naybardziey obawiać mi się należy, bo wtedy iuż po moiey samotności, ktora swą czarodzieyską ponętą pokoy sercu memu przywracała. — Jeszcze i to wszystko bym zniosła. — Ale kiedy mi zacna Pani domu tego, dowody przywiązania, a nawet szacunku dawać zacznie, a ia co chwila poczuię, iż ich warta nie iestem, o iakże mnie srodze na ten czas sumnienie dręczyć będzie! — Ale drżę cała przed tem wyobrażeniem: ieżeli dom ten zgiełkiem towarzystw zostanie, traf niespodziany może ktorego z dawnych moich znaiomych tu przyprowadzić. — Niestety! w iak biednym iesteśmy stanie, kiedy tylko choć dwoie oczow znavduie się na świecie, przed ktorych spoyrzeniem wstydzić się i uciekać potrzeba....

SCENA VIII.

ELEONORA i JAKOB.

JAKOB.

Otoż i ſtoię.

ELEONORA.

Już z powrotem?

JAKOB.

Albom nie sprawny, nie szybki. — Rozkaz wykonałem i ieszcze procz tego kwadransik cały przegadałem.

ELEONORA.

Gadać to uchodzi, byle nie wygadać się.

JAKOB.

Ach! zachoway mnie Boże! nie. — Powiedziałem tylko staremu Tobiaszowi, iż w życiu swoim nie dowie się, że te pieniądze, ktore mu przyniosłem od W Pani Dobrodzieyki pochodzą.

ELEONORA.

O to wybornie.

JAKOB.

J Oyca mego, ktory ciekawie chciał mi zayrzeć w serduszko z niczem odprawiłem, tyle mu tylko odkryłem, że się reszty domyślić może.

ELEONORA.

J to nie źle. — Starego Tobiasza, zdrowego W Pan zastałeś.

JAKOB.

A tak. — Dzisiay pierwszy raz chce świeżego powietrza skosztować.

ELEONORA.

Chwała Bogu, cieszę się z tąd...

JAKOB.

Mowił mi, że wszystko Pani i owemu nieznaiomemu winien. — Chce się tutay przyczołgać, i kolana uściskać.

ELEONORA.

Kochany Panie Jakobie, czy chciał-

byś mi W Pan przysługę iedną uczynić.

JAKOB.

O ie, ie, fto za iedną. — Bylebyś mi także Pani pozwoliła, ach, pozwoliła, długo, iak naydłużey patrzeć na siebie.

ELEONORA.

Bardzo chętnie, miey tylko W Pan baczność, gdy ow ftarzec nadeydzie, aby nie wpuszczać go do mnie. — Powiedz mu iż czasu nie mam, chora ieftem, śpię, albo iak się tam zdawać będzie W Panu.

JAKOB.

Dobrze, dobrze, a ieżeli niezechce poyśdź precz, to ia go w kark, i wypchnę z pokoiow.

ELEONORA.

Ach uchoway Boże! żadney mu przykrości czynić niepotrzeba. — Pamiętay W Pan, ftarca takiego, nie należy bynaymniey obrażać.

JA-

JAKOB.

No, no, wszyftko co Pani rozkaże. — Ale ot! i moy Oyciec.

SCENA IX.

CIEMNOWIDZ i CIŻ SAMI.

CIEMNOWIDZ.

Dzień dobry, dobry dzień, moia piękna prześliczna Pani Betty, z serca się cieszę, widząc W Panią w dobrym zdrowiu; W Pani Dobrodzieyka, kazałaś mnie wołać: Zapewne co nowego z Warszawy? — Oy tak, dziwne się teraz rzeczy dzieią na horyzoncie politycznym. — I ia mam lifty.

ELEONORA. (*Z uśmiechem*)

Bez wątpienia, kochany Pan Ekonom, wszak z całym światem utrzymuie korrespondencyą.

CIEMNOWIDZ. (*Z powagą*)

Przynaymniey we wszystkich stołecznych miastach Europy. — mam moich pewnych korrespondentow...

ELEONORA.

A iednak, założyłabym się, iż WPan niewiesz, co się tu dzisiay ma zdarzyć.

CIEMNOWIDZ.

Tu? w domu? — Nie wielkie osobliwości. — Parę korcy ięczmienia wysiać chcemy, ale czas nadto iest suchy. — Miałem wczoray listy, z Siedmiogrodzkiego Krolewstwa, i tam zbywa na buynym deszczu. — Powszechne narzekanie w Europie na nieurodzay. — Ale co Pani, mogłaby sobie sprawić zabawkę strzyżemy dziś owce.

JAKOB.

I iayca wielkiey iedyczki, mają się dzisiay wykłuć. — I dziki kary ogier..

CIEMNOWIDZ.

Milcz mazgaiu.

JAKOB.

O toż iest, gęby nawet otworzyć nie może. (*Kładzie na głowę kapelusz i odchodzi mrucząc.*)

ELEONORA.

Jegomość Pan Jenerał, dziśiay tu przyiedzie.

CIEMNOWIDZ.

Co? iak?

ELEONORA.

Z Jeymością i szwagrem swoim Panem Maiorem Prawdzickim.

CIEMNOWIDZ.

Bez żartu.

ELEONORA.

Wiadomo W Panu, kochany Panie Ciemnowidz iż nie iestem bardzo żartobliwa.

CIEMNOWIDZ. (*Woła*)

Jakobie. — O ty miły Boże! Jaśnie

Wielmożny Jmć Pan Jenerał własną wysoką osobą w progi u nas zawita. — Jakobie, nayłaskawsza Jeymość nasza Pani Jenerałowa. — Jakobie, i Wielmożny Jmć Pan i Dobrodziey Jmć Pan Maior Prawdzicki, a tu nic w należytym porządku nie iest. — Kubo? — Kubo!

J A K O B.

Coż tam iest znowu. — zawsze co nowego.

C I E M N O W I D Z.

Pozwoływay prędko wszystkich ludzi. — Pośley do leśniczego, niech sarnę do pańskiey kuchni przystawi, ale prędko, Elżbieta, niech pokoie wykadzi, i kurz ze zwierciadeł pozmiata, aby Jaśnie Wielmożna Jeymość przeyrzeć się w nich mogła. — Kucharz niech w prędkości parę kapłonow zarznie, a Maciey niech zaraz szczupaka ze stawu przyniesie, ledwo dyszę. — A Bartłomiey -- no, no, iuż dosyć tego, idź, idź, a spraw się dobrze. *(Jakob odchodzi.)*

ELEONORA.

Każ W Pan nadewszystko pościel przewietrzyć, i kanapy wytrzepać. Wiesz W Pan dobrze, iż Jegomość wygodę lubi.

CIEMNOWIDZ.

To prawda, moia prześliczna Pani Betty, i natychmiast się to stać musi. — Ale, o bday w zielonym pokoiu kartofle rozrzucić kazałem, ktore tak prędko przeniesione bydź nie mogą.

ELEONORA.

Nie iest to koniecznością.

CIEMNOWIDZ.

Ale, gdzież Jmć Pan Maior mieszkać będzie?

ELEONORA.

Day mu W Pan mały czerwony pokoik przy wschodach, iest on powabny i śliczny z niego widok.

CIEMNOWIDZ.

Bardzo dobrze, kochana serdeczna

Pani, lecz tam zawsze sekretarz gabinetowy Jegomości mieszkał. — W prawdzie nie koniecznie go też JW. Pan potrzebuie, ledwo na rok parę listow pisać mu przychodzi. Możnaby go. — O stóy! — wyborny koncept mi przypada. — Znasz WPani, ow mały domek, tuż przy zwierzeńcu, tam sekretarza zapakuiemy.

ELEONORA.

Zapominasz WPan, że tam iuż miszka ten Nieznaiomy.

CIEMNOWIDZ.

Ey, co nas ten Nieznaiomy obchodzi, ktoż mu kazał tam wprowadzić się, wyforuię go natychmiast.

ELEONORA.

Toby było niesprawiedliwością WPan mu sam ofiarowałeś, to mieszkanie, i rozumiem, iż dobrze i regularnie opłaca się.

CIEMNOWIDZ.

Płaci to prawda, i podobny akcyden-

sik dla ubogiego ekonoma, zapewne niewart iest wzgardy. — Ale.

E L E O N O R A.

Coż? ale.

C I E M N O W I D Z.

Ale, wiedzieć niemożna, kto on iest? Żaden czart rozumnym zniego bydź nie może, kłopot mi, tylko pieniądze iego przynoszą, każdy grosz mnie trapi.

E L E O N O R A.

Trapi! W Pana, a to iak?

C I E M N O W I D Z.

Czyliż nie łamię sobie naprożno głowy od kilku miesięcy, żeby tę taiemnicę wyśledzić? — Dostałem był niedawno list z Peterzburga, w ktorem mi donoszą, że się w tych stronach śpieg iakiś snuie --- a według opisu...

E L E O N O R A.

Żartuiesz W Pan. — Nie kochany Panie Ciemnowidz, day W Pan temu

Nieznaiomemu człowiekowi pokoy. — Nie widziałam go w prawdzie, i nie iestem bardzo ciekawa poznania iego; ale wszystko co o nim słyszę, wystawia mi go iako człowieka, ktorego wszędzie znieść można. Żyie samotnie, i spokoynie. . .

CIEMNOWIDZ.

Temu nie przeczę.

ELEONORA.

Nie iedno dobrodzieystwo pokryiomu świadczy.

CIEMNOWIDZ.

Temu nie przeczę.

ELEONORA.

Nikomu ciężarem nie iest.

CIEMNOWIDZ.

Co temu, to przeczę.

ELEONORA.

J dziecka nie urazi.

CIEMNOWIDZ.

Co temu, to przeczę.

ELEONORA.

Coż W Pan chcesz zatem więcey?

CIEMNOWIDZ.

Chcę widzieć kto on ieſt. — Żeby to przynaymniey chciał pogadać, aby go iako nieznaczka i figlami w pole wyłowić. — Ale kiedy się z nim nawet, gdzie spotkam, iak naprzykład dzisiay pod zwierzeńcem czemże mnie odprawia. — Dobrym dniem i szczęśliwą drogą. — I na tem basta. — Pokilka krotnie zaczynałem. — Dziś ieſt piękna pogoda. — Prawda. — Już drzewa puszczać zaczynaią. — Prawda. — Pan iak widzę dla zdrowia przechadzką zabawia się. — Prawda. — Jdź do czarta myślę sobie, dziku, i nieżyy między ludźmi. — Dziś nawet co więcey, skryłem się między drzewa, kiedy do siebie powracał, z iakimsiś tam swoim kamratem, gadali, gadali, i nagadaniu skończyło się. — Roześli się potem. —

Moy śliczny Prałat został sam ieden, i coś sobie bzdurzył pod nosem. — W tem przyskoczył do niego, iakiś Desperat z pistoletem w reku, ażem struchlał. — Pieniądze, lub życie zawołał. — Nieznaiomy Jegomość spoyrzał tylko na niego, a pistolet z ręki, wyleciał Desperatowi, słowem, po długiey pełnęy gestòw i wykrzykow scenie, natem się skończyło, że szaleniec worek złota otrzymał, i z Pánem Bogiem poszedł. — A iuż też tego wszystkiego aż nadto.

E l e o n o r a.

W zapał W Pan wpadłeś, kochany Panie Podstarości, zapomniy W Pan raczey o tem uczciwym Nieznaiomym, a niezapominay o przybyciu Jegomoscinem.

C i e m n o w i d z.

Ah! prawda, o nieba! no patrz W Pani, prześliczna Pani moia, patrz W Pani tylko co za nieszczęście wyniknąć może, kiedy się ludzi nie zna. — A tu.

ELEONORA. (*Patrzy na zegarek.*)

Już dziesiąta. — W krotce Państwo nadiadą. — Poydę tem czasem moie załatwić starunki, a W Pan idź zrobić swoie. (*Odchodzi.*)

SCENA X.

CIEMNOWIDZ *sam* (*patrzy ciekawie na odchodzącą.*)

Tak, tak ia poyde załatwić moie starunki, a W Pan idź zrobić swoie. — To mi też także, iedna z takich Jmościow, wszak rowniesz, wiedzieć niemożna, kto ona iest? Pani Betty! Pani Betty. — Wiele Pań tego nazwiska zagranicą może znayduie się, ale tu w Polszcze, Polka, pod tem nazwiskiem, o ho! to kłamstwo, to istne iest kłamstwo, siedzi tu także, coś ukrytego. — Wiem ci ia dobrze; że ią J. Wielmożna Jeymość przed trzema laty do domu w kręciła, ale zkąd? dla cze-

go? z iakiey przyczyny? tu się urywa moia wiadomość. — Wewnętrznem domu gospodarstwem ma zawiadywać, powiedziała łaskawa Ieymość moia. — Ale o słodki Boże! czyliżem przez lat dwadzieścia zewnętrzne i wewnętrzne gospodarstwo z chwałą nie prowadził. — Prawda est. — Starzeię się iuż, i przypisać iey muszę, że wiele sobie zadaie pracy. — Ale czyliż się wszystkiego o demnie nie nauczyła? gdy tu zawitała. — Dla Boga, niewiedziała nawet, iż się z lnu płotno, a z konopi postrunki robią, ha, ha, ha. *(Odchodzi śmieiąc się.)*

A K T II.

SCENA PIERWSZA

MAIOR PRAWDZICKI. *(W prowadzaią go Ciemnowidz i Jakob, ktory zawsze Oyca swego, stara się naśladować.)*

CIEMNOWIDZ.

Mam honor Wielmożnemu Panu, a Panu memu Dobrodzieiowi, w małey moiey osobie pierwszego sługę domu tego iak naypokorniey prezentować, ktory szczęśliwą nazywa tę godzinę, w ktorey znakomite szczęście, dostało mu się w udziale Wielmożnego Pana, a Pana szwagra J. Wielmożnego Jenerała, z oblicza do oblicza poznać, i pod stopy iego usłać się.

JAKOB.

Poznać i pod stopy usłać się.

MAIOR.

Dosyć iuż tego, żołnierz iestem, iak

W Pan widzisz i nie lubię wielkich ceremonii.

CIEMNOWIDZ.

Przepraszam, przepraszam Wielmożny Mości Panie Maiorze Dobrodzieiu, choc się na wsi mieszka, zna się na powinności, względem osob wysokich.

JAKOB.

Zna się na powinności.

MAIOR.

No, no, iuż my się lepiey poznamy, wiedz W Pan otym Panie Ciemnowidz, że naymniey przez dwa miesiące do przetrawienia intratek tuteyszych pomagać będę.

CIEMNOWIDZ.

Dla czego nie? roki, roki ſtaremu Ciemnowidzowi, mocno się to podoba. — Mowiąc bez własney chluby nazbierałem, naciułałem, tyle wszyſtkiego, iż się J. Wielmożny Jenerał zadziwi.

MAIOR.

Tem lepiey. — Zbieraiący szuka rozrzutnika, a co do tego, znaydziesz w szwagrze moim swego człowieka. — Czyliż W Pan nie wiesz, że służbę woyskową opuścił, i w spokoyności, iuż tutay życie skończyć zamyśla.

CIEMNOWIDZ.

Co Pan mowi? ani iedna syllaba o tem, do uszow moich nie doszła.

JAKOB.

Ani iedna syllaba nie doszła.

MAIOR.

Wszak wiadomo W Panu, iak to u nas w Polszcze nie dawno było. — Nie było woyska, nie było karności. — W tych nieszczęśliwych czasach szwagier moy służył w woysku. — Służby nikt nie odprawiał, i on ią też zaniedbywał. — Rapporta na poręczowych krzesłach odbierał, na wachtparadach ledwo raz w tydzień pokazał się. — W exercerunkach, na subalternow spuszczał się.

ale teraz gdy duch patryotyzmu powszechnie w sercach Polakow ożył; gdy powołanie nasze bardziey cenić zaczęsto, gdy się wygnana marność, i służba, przy większey liczbie woyska do kraiu wróciły. — Szwagier moy ktoremu ta nagła odmiana, przypodeszłym iuż wieku zdawała się przyciężką, wziął apszeyt zostawiwszy młodszym od siebie mieysce popisywania się na polu honoru i sławy.

CIEMNOWIDZ.

Co słyszę?

JAKOB

Co słyszę?

CIEMNOWIDZ.

Więc iuż w dobrach swoich teraz żyć będzie? Ah! co za radości! — Teraz to dopiero stary Ciemnowidz, prawdzie żyć zacznie.

JAKOB.

J młody Jakob także.,

CIEMNOWIDZ.

J. Wielmożny Jenerał, będzie chciał mieć zapewne, co poczta gazetę Hamburską, i przewyborną gazetę narodową Warszawską; przedziwny dowcip, ktory w niey od iednego końca, do drugiego panuie, byłby i dla mnie także że tak rzekę prawdziwym pokarmem. — Nic nowego Wielmożny Panie Maiorze, z politycznych obrotow kołowrota światowego?

MAIOR.

Nic, tylko że pożar woyny pewniuteńko się rozszerzy.

CIEMNOWIDZ.

O, tem iuż odkilku miesięcy wiedzieliśmy.

JAKOB.

Od kilku miesięcy wiedzieliśmy.

MAIOR. (*śmieiąc się.*)

Niepodobna. — A to iako?

CIEMNOWIDZ.

He, he, he, w tym mi też ieſt sęk cały sekretu. — Ma się przyiacioł w miniſteryum, trzyma się korrespondentow, odbiera się liſty ze wszyſtkich ſtron.

MAIOR.

No? *(na stronie)* Już mnie nudzić zaczyna ten gaduła.

CIEMNOWIDZ.

Żałuię bardzo, że muszę odeyść, i niemogę dłużey Pana Dobrodzieia moiego zabawić.

JAKOB.

Żałuię bardzo.

MAIOR.

Niczego, pochodzę sobie po pokolach

CIEMNOWIDZ.

Niewiem wcale, gdzie mi się Pani Betty, zapodziała. — Oy, to mi kobieta ta ma gębusię, potrafiłaby Pana zabawić.

MAIOR.

Pani Betty? ktoż ona iest? ta Pani Betty.

CIEMNOWIDZ.

Kto ona iest? tego na nieszczęście nie umiem powiedzieć.

JAKOB.

I ia, nie.

CIEMNOWIDZ.

Ani ieden z moich korrespondentow nie mogł mi dać o niey zawiadomienia. — Jest tutay, quasi domu marszałkową. — Ale zda mi się, że iey miluchny głosek na wschodach słyszę. — Będę miał honor, przysłać ią na tychmiast do Pana mego.

MAIOR.

Nie fatyguy się W Pan.

CIEMNOWIDZ.

Jak to, nie fatygować się? iestem Wielmożnego Pana zawsze nayuniżeń-

szy podnożek. *(Z wielu ukłonami od. chodzi)*

Jakob. *(Mruczy także pod nosem.)*

Nayuniżeńszy podnożek. *(Kłaniaiąc) się niezgrabnie odchodzi.)*

Maior.

Teraz mi na kark, iak widzę ſtarą iaką babę nadeszłą; ta mnie do oſtatka zamęczy. — Jakiey że cierpliwości potrzeba z temi wieśniakami.

SCENA II.

MAIOR ELENORA.

Elenora. *(Z przyzwoitym ukłonem wchodzi do pokoiu.)*

Maior. *(Oddaie ukłon za ukłon, i nieco zmieszany.)*

Nie; ſtara nie ieſt, *(powtornie na nią spoziera.)* i brzydką nie ieſt.

E l e o n o r a.

Cieszy mnie, iż w osobie W Pana Dobrodzieia mam szczęście poznać brata protektorki moiey.

M a i o r.

Mościa Pani! każdy tytuł iest drogim dla mnie kiedy mi daie sposobność poznania W Pani.

E l e o n o r a. (*Na komplement ani spoyrzeniem, ani słowem nieodpowiadaiąc.*)

Piękna pora roku zapewne Jmć Pana Jenerała z miasta wywabiła.

M a i o r.

Nie koniecznie. — Znasz go Jeymość dla niego wszystko iedno, deszcz, czy pogoda, wiosna lub zima, byleby tylko w własnym iego domu wiecznie kwitnęło lato, to iest przywiazana żonka. — Dobrze zastawiony stoł, stare winko, i kilku wesołych przyiacioł.

E l e o n o r a.

Godny iest zaiste Jmć. Pan Jenerał szacunku powszechnego. — Nigdy swe-

go czoła nie zachmurzy, zawsze rownego humoru, wesoły zabawny uprzeymy dla wszyſtkich; przyznay W Pan Mości Panie Maiorze, że Jmć Pan Jenerał ulubionym szczęścia ieſt dzieckiem. — Nie z przyczyny urodzenia lub maiątku, lecz dla iednoſtayności charakteru dla czerſtwości, ktora go nigdy nie opuszcza.

M a i o r. (*Ktorego co raz hardziey rozum i piękność Eleonory porusza.*)

Prawda, bardzo wielka prawda i moy dobry, i wygodę lubiący szwagier, zdaie się, iż czuie własne szczęście swoie, i zechce go zawsze utrzymać. — Służbę woyskową teraz porzucił, aby iuż krewnym i przyiaciołom oddawszy się, żył sobie spokoynie i bez troskow.

E l e o n o r a.

Prawdziwie iego sposobowi myślenia honor to czyni.

M a i o r.

Żeby mu tylko nakoniec samotność przyciężką niebyła.

ELEONORA.

Moim zdaniem Mości Panie Maiorze, samotność dla tego ktory do niey czyste sumnienie, i serce niezkłocone namiętnościami przynosi, pomnaża owszem życia słodycze.

MAIOR.

Pierwszy raz z ust pięknych, pochwałę samotności słyszę.

ELEONORA.

Podchlebiasz mi W Pan z uszczerbkiem płci moiey.

MAIOR.

Bez żartu, wyznać musze. (*Niewmyśli iednak uczynienia płci piękney iakiego zarzutu.*) kobiety zdaią się mniey bydź do samotności stworzone, niżeli męszczyzni. — My tysiączne mamy zatrudnienia, stokrotne rozrywki, na ktorych pierwszym zbywa.

ELEONORA.

Mogęż się spytać iakie?

MAIOR.

Harcuiemy na koniach, poluiemy, gramy, czytamy, piszemy liſty i tam daley

ELEONORA.

Nie ma w tem wszystkim czego zazdrościć, każdy ſtan, każda osoba, na każdym mieyscu, ma swoie obowiązki ktore ieżeli wypełnia, ſtaie sie użytecznym członkiem społeczeńſtwa, i sama się zabawia.

MAIOR.

Wiſtocie życzyłbym sobie wiedzieć, iak też cały przeciąg dnia każdego przepędzasz W Pani....

ELEONORA.

O Panie Maiorze, nie uwierzysz W Pan, iak prędko czas przebiega, kiedy pewny porządek, pewna ſtałość w życia naszego sposobie panuie. — Dzień ieden iak drugi, dzisieysza zorza poranna tak iak wczorayssza; częſtokroć sama się siebie zapytam: czy poniedziałek iuż minął, czy sobotę dziś mamy! Zrana bawię się rozporzą-

dzeniem domu, wydzielam pracuiącym robotę przechodzę się po folwarku, zayrzę do owiec, do bydła, i iuż ci południe; ku wieczorowi bawić się zaczynam — Idę z ogrodu do zwierzyńca, ze zwierzyńca na łąki, karmię drob, polewam kwiaty, zbieram truskawki, lub też przypatruię się igraszkom, chłopcow i dziwcząt wieyskich.

M a i o r.

Wszystko to, są uciechy wiosny i lata. — Ale zima, zima.

E l e o n o r y.

Ktoż sobie zawsze zimę wystawiać będzie, iak zgrzybiałego starca w futrze i zrękawem. — Zima, ma także swoie osobne rozrywki; kiedy w ściany i okna domu, wicher, śniegi, grad, biią, ia w tedy siedzę w pokoiu przy ciepłym piecu. — Czas iest w tey porze otworzyć książkę, czytaniem duszę rozweselić, aż poki wiosienne słońce gorącey przyświecać nie zacznie. — Czasem też sobie każe klawikort nastroić, tak dobrze iak nasz organista

potráfi, i przegrywam sobie co mi się podoba.

M a i o r.

Uszczęśliwiony, kto nitkę zabaw swoich, sam z siebie wyprzędzać może. — Jednakże niepodobna, żeby się czasem nie zapragnęło, ludzi widzieć.

E l e o n o r a.

Czyliż ich nie widzę i tu podostatkiem? Mości Panie Maiorze widuię tu twarze ludzkie zdrowsze, czerstwieysze, niżeli twarze wybledniałych w mieście, młodych starüszkow. — A potem, procz Pana ekonoma i Syna iego, mam ieszcze w całe upodobane towarzystwo kobiet wieyskich, ktore swemi rozmowami, mnie czasem serdecznie zabawiaią.

M a i o r.

Zaprawdę! ieżeli kto na świecie z każdego kwiatu miod wyssać umie, to zapewne W Pani Dobrodzieyka.

E l e o n o r a. *(Wzdycha nieznacznie.)*

SCENA III.

JÀKOB i CIŻ SAMI.

JAKOB.

Ja iuż go zatrzymać nie mogę, iuż iest na wschodach

ELEONORA.

Kto taki?

JAKOB.

Stary Tobiasz żebym był miał pozwolenie użyć moiey ręki, dalipan, iuż bym go był za próg wyparował.

ELEONORA.

Powiedz mu W Pan Panie Jakobie, iż nie mam czasu, że nie iestem sama

MAIOR.

Czegoż tu chce, ten starzec?

JAKOB.

Kolanka uścisnąć i podziękować.

ELEONORA.

Za nic, za bagatele. — Jdź WPan powiedz mu że go sama w tych dniach zawołać każe; albotęż przechodząc wstąpię do niego.

MAIOR.

Pozwol W Pani przyyść temu staruszkowi. — Jeżeli od niey dobrodzieystwami iest obdarzony, byłoby cieżarem, gdyby mu przynaymniey nie było wolno, podziękować za nie.

ELEONORA.

Niemasz w tem żadnych dobrodzieystw.....

MAIOR. (*Przerywa.*)

Bez fałszywey skromności, pozwol mi Pani bydź świadkiem sceny, ktora mnie wymowniey przekona, niżeli teraźnieysza nasza rozmowa, iak szlachetnie czas swoy przepędzasz.

ELEONORA.

Nie potrzeba M Panie Maiorze. — Pocoż to? Panie Jakobie. — Jdź W Pan

i powiedz Tobiaszowi, że go iutro chcę widzieć, niech do mnie przyydzie, albo ia go odwiedzę.

JAKOB.

Dobrze. — Kłaniam.

MAIOR:

Jak Wacpani chcesz, tak się ſtać iuż musi, szanuię wyrok, ale ſkromność iey, podwaia we mnie winny szacunek.

JAKOB.

Mam więc iść.

ELEONORA.

Tak ieſt.

JAKOB.

J powiedzieć Tobiaszowi słowa WPani Dobrodzieyki.

ELEONORA.

Tak ieſt, tak ieſt.

SCENA VI.

ELEONORA i MAIOR.

Eleonora. (*Z pomięszaniem piękney duszy staraiąc się inny zacząć dyskurs.*)

Sądze iż i J. Wielmożny Jenerał, nie zadługo stanie zapewne?

Maior. (*Rzuca na nią częste spoyrzenia w ktorych czułość wyczytać można.*)

Nie; Mościa Dobrodzieyko, niech sobie powoli iedzie; Droga arcy zła i chropowata. — Przez spoznienie iego pozyskałem konwersacyą, ktorey nigdy nie zapomnę.

Eleonora. (*Smiciąc się.*)

Mości Panie Maiorze, słowa tę są satyrą na ludzi.

Maior.

A to iak?

E l e o n o r a.

Gdyż te naturalne zdarzenia, zdaią się bydź W Panu rzadkiemi.

M a i o r.

Prawdziwie. zgadłaś WPani. J dzisiay przyznam się tak mało przygotowany byłem do podobney znaiomości; tak bardzo iestem w zadumieniu. — Gdy mi ekonom nazwisko W Pani powiedział, ktożby się był spodziewał, żeby po tak skromnem nazwiskiem...

E l e o n o r a. (*Nagle przerywaiąc.*)

Nie, zupełnie pospolita kobieta ukrytą była? (*żartuiąc*) dla tego, radzę W Panu co iuż nie ieden moralista, na prożno i bez skutku przekładał. — Żebyś uczciwego człowieka, choć bez wielkiego nazwiska, zawsze wyżey szacował, a niżeli rozpustnika, ktorego familia trzysta lat liczy. — Wybacz mi W Pan, zaczynam bydź żartobliwą, i nawet chcącą udawać rozumną. — Kobiety są do tego arcy łatwe i do gadatliwości skłonne.

M a i o r.

Jak gładko z drogi umiesz WPani z baczać. O iey nazwisku była mowa.

E l e o n o r a.

Wiem o tem, nie myślę czynić go świetnieyszem iak iest w samey rzeczy.

M a i o r.

Wybacz Pani ciekawości moiey. — Byłaś. *(Z boiaźnią.)* albo iesteś komu zaślubioną.

E l e o n o r a. *(Nagle z wesołego humoru. w smutny zmieniwszy się.)*

Byłam za mężem Panie Maiorze.

M a i o r. *(Ktorego ciekawości zawsze w granicach powinney attencyi zostaie.)*

Wdową tedy?

E l e o n o r a.

Proszę W Pana, w życiu luzkim takie czasem znayduią się strony, kto-

Ma-

rych poruszenie, smutny i nie przyiemny odgłos wydaią. — Proszę WPana.

MAIOR. (*Z respektem.*)

Rozumiem.

ELEONORA. (*Po małey pauzie, niby humor dobry znowu udaiąc.*)

Wsamey, rzeczy nie zadługo do wybiegow Pana ekonoma Ciemnowidza przykładać się zacznę. — Nic nowego ze stolicy, Panie Maiorze?

MAIOR.

Nic ważnego; niewiem iednak, coby ią tam interessować mogło? Jakież w stolicy bydź mogą iey znaiomości?

ELEONORA.

Moie? żadne.

MAIOR.

Więc może w cale nie rodem z kraiu naszego?

ELEONORA.

J urodzona i wychowana.

MAIOR.

Pozwolisz się W Pani zapytać, iaka okolica pod niebem?

ELEONORA. (*Przerywaiąc.*)

Mnie ubogą wzrastaiącą widziała iakiem iuż oświadczyła, Polska ieft moią oyczyzną.

MAIOR.

W Pani wszysto pod pełną taiemnic zasłoną ukrywać umiesz, tylko przymioty iey na iaw się okazuią.

ELEONORA.

Prożności kobiecey raczysz W Pan tę słabość przypisać.

SCENA V.

CIŻ SAMI CIEMNOWIDZ z JAKOBEM. *Wpadaią drzwi otwieraiąc.*)

JENERAŁ i ŻONA *iego (Zdziecięciem w ręku wchodzą.*)

JENERAŁ.

Tandem, iuż więc iesteśmy. Bòg

błogosławił wyiazdowi naszemu. — Kochana Pani Betty, widzisz teraz W Pani officiera inwalidę, ktory w przyszłości żadney inney, tylko W Pani chorągwi, grzysięgę złożyć zamyśla. (*ściskaią się.*)

ELEONORA.

Chorągiew moia, samotności poświęcona.

JENERAŁ.

J zewszech ſtron kupidenkami miłości upſtrzona.

JENERAŁOWA. (*Ktora tym czasem także Eleonorę przyiacielsko ściska, i od teyże iest witaną.*)

Zapominasz W Pan, Panie mężu że ia tu ieſtem.

JENERAŁ.

Do czarta! Pani małżonko. — Albożto. (gdy się zdarzy) pierwszych czasow młodości przypomnieć sobie nie wolno? O iak się to w tedy szalało! — (*do Maiora.*) kochany szwagierku,

iakże te kilka minut przepędziłeś, diabelnie mi moie cztery siwce schlastałeś, żebyś iak nayprędzey tu przyleciał.

MAIOR.

Gdybym był znał wszystkie wdzięki, ktore to mieysce w sobie zawiera, zapewne bym prędzey ieszcze był pospieszał.

JENERAŁ.

Toś mi walny, kiedy tak myślisz, przyiacielu. — Ja kiedym był młody, wdziękòw iak motyl kwiatow szukałem, wdziek każdey rzeczy na świecie lustru dodaie.

JENERAŁOWA. *(do Ele onory.)*

Oleś moy podrosł, nie prawda? nie musiał sie iednak bardzo odmienić?

ELEONORA. *(Schyla się do dziecięcia i ciężki frasunek widać w iey twarzy.)*

To sliczne dziecko.

JENERAŁ.

Ale ale, spodziewam się, Ciemnowidz, że waść o dobrey przekąsce pomyślałeś?

CIEMNOWIDZ.

Tak dobrze, iak się w prędkości zrobić dało.

JENERAŁ. (*Suknią wierzchnią ściągnąć sobie każe, tym czasem Maior siostrę na bok bierze.*)

MAIOR.

Proszę cię siostro, iakążeście perłę tu na wsi zagrzebali.

JENERAŁOWA.

Ha, ha, znowu tu w nowe sidełka wplątałosię nie; stateczny!

MAIOR.

Odpowiedz mi?

JENERAŁOWA.

Zowie się Betty. . .

MAIOR.

Wiem o tym ale....

JENERAŁOWA.

Ale i ia nic więcey niewiem.

MAIOR.

Żart na ſtronę chciałbym wiedzieć.

JENERAŁOWA.

Żart na ſtronę, chciałabym żebyśmi teraz dał pokoy.

MAIOR.

Co za dziwaczny los moy ieſt dziſiay. (*Chce odeyść.*)

JENERAŁ.

A dokąd Panie ſwagrze?

MAIOR.

Do ſiebie.

JENERAŁ.

Zoſtań ſię WPan ieszcze, przed śniadaniem, przeydziemy ſię cokolwiek.

MAIOR.

Wybacz mi kochany Jenerale. Tyle mi rzeczy rozmaitych w głowie przechodzi, że o żadney inney przechadzce myśleć nie mogę. (*Odchodzi.*)

SCENA VI.

JENERAŁ, JENERAŁOWA, ELEONORA, CIEMNOWIDZ, i JAKOB.

JENERAŁ. (*Rzuca się znienacka na krzesło.*)

JENERAŁOWA. (*Bierze na bok Eleonorę i siadaią razem przy stoliku Eleonora dobywa pończochę i robi.*)

JENERAŁ.

Ciemnowidz? iak widzę to waść zawsze ten sam, zawsze wesoła pałka.. . .

CIEMNOWIDZ.

Dla iak naypokornieyszey posługi J. Wielmożnego Pana.

JENERAŁ.

Spodziewam się iż nie ieden żarcik będziemy mieli między sobą.

CIEMNOWIDZ.

Zechcemy mieć, dopomoż Boże.

JENERAŁ (*Pokazuie na Jakoba.*)

Ato co za małpiarz ſtoi?

CIEMNOWIDZ.

To ieſt, za pozwoleniem Pańſkim, moy rodzony syn, z nazwiſka Jakòb.

JAKOB (*Kłania się przekrzywiaiąc nogi.*)

JENERAŁ.

Jakże się w gospodarſtwie szykuie?

CIEMNOWIDZ.

Wszyſtko wybornie i dobrze; miałem nie chlubiąc się pracę iak koń.

JENERAŁ.

Dla czego nie iak osioł?

C I E M N O W I D Z.

Albo i iąk osioł, ieżeli J. Wielmożnemu Panu tak się podoba. Siano tegoroczne przedziwne, w życie robak uszkodził nieco.

J E N E R A Ł.

Polowanie iak idzie?

C I E M N O W I D Z.

Ptastwa leśnego mnostwo. — Zaiące w kapustach dosyć często goszczą.

J E N E R A Ł.

Czy dobry z waści strzelec?

C I E M N O W I D Z.

Przed czasem byłem nim, ale od lat czterech gdy mnie nieszczęście spotkało, że trzy swoyſkie gęsi zaſtrzeliłem, ktore za dropie wziąłem, iuż odtąd ſtrzelby więcey nie ruszyłem. — Moy kuba ſtrzela czasami wroble.

J A K O B.

Ja ſtrzelam wroble.

C I E M N O W I D Z.

Wolałem raczey w czym innym o wysokie rozrywweczki dla J. Wielmożnego Pana postarać się; zwierzeniec żeby Pan Dobrodziey widział, iak ia tam upstrzyłem. Pan go doprawdy nie pozna. — Tam widać domek pustelniczy; tu kręte drożki i manowce, tam obelisk; tu zabytki świątyni miłości, i tyle tym podobnych cudów, a wszystko z ekonomiią wszystko z nayoszczędnieyszą oszczędnością. (*śmieie się.*) he, he, he, tu zaraz na przykład, gdzie się do zwierzyńca wchodzi, wybudowałem most chiński, nad małą rzeczką ktora owdzie płynie. Jak Pan Dobrodzey rozumie? iakiego drzewa do tego użyłem. (*śmieie się.* drzewa ze starego zawalonego kurnika.

J E N E R A Ł.

Ale to musiało bydź drzewo zgniłe; i most stoi ieszcze.

C I E M N O W I D Z.

Stoi, aż do dnia dzisieyszego.

Jenerrł. (*Wstaiąc.*)

Więc musze zaraz te wszystkie dziwy obeyrzeć; każ tym czasem stoł nakryć.

Ciemnowidz.

Iuż nakryty. — Będę miał honor J. Wielmożnemu Panu towarzyszyć

Jakob.

Będę miał honor towarzyszyć.

Jenerał. (*Wychodząc do żony.*)

Do zobaczenia moia rybko, a WPani, moia Pani Betty tak pilnie pracuiesz, iak gdybyś na chleb sobie zarobić chciała.

SCENA VII.

JENERAŁOWA i ELEONORA

Jenerałowa.

Jakże moia kochana, męża mego znayduiesz?

ELEONORA.

Zawsze tego samego, iakim odiechał takim i powrocił.

JENERAŁOWA.

Już podobno, nie tak prędko ztąd wyiedziemy. — Mąż moy przedsięwziął, wieyskiemu życiu całego siebie oddać; i ia na tym korzystam, będę mogła częściey Olesiem moim zatrudniać się. — Słodka to praca, miłe zatrudnienie, prawda,?

ELEONORA.

Ach! i wielka prawda,

JENERAŁOWA.

Coż to iest moia kochana, iuż od przyiazdu naszego widzę smutek wyryty na twoiey twarzy; czy choroba? czy iaki przypadek?

ELEONORA. (*Sił nabiera i wesołą twarz udaiąc.*)

Bynaymniey Mościa Dobrodzieyko; i owszem serdecznie się cieszę, iż w oso-

bie iey łaſkawą protektorkę moią znowu widzieć mogę. — Zbytnia radość, częſtokroć głębokie uczucia w tkliwem sercu sprawuie.

JENERAŁOWA.

Już dobrze, wierzę ci, przyiaciołko; iakże ci się mieysce to podobało w naszey nieprzytomności, posępne zapewne.

ELEONORA.

I owszem przyiemne i zabawne.

JENERAŁOWA.

To mnie mocno cieszy; bądź zapewniona kochana Betty, iż cokolwiek się do iey szczęścia będę mogła przyłożyć, wszyſtko chętnie i z serca uczynię. — Teraz iuż tu sami gospodarować będziemy. — Mąż moy nawet co większa xiążki gospodarskie poskupował. Zduszy przy tem kupnie śmiałam się, ale coż czynić, kiedy mu się tak przywidziało.

ELEONORA.

Oczekuię z pragnieniem iaka część

pracy na mnie będzie włożoną, przynaymniey wysługiwaniem się za ich liczne dobrodzieystwa będę się mogła wypłacać.

JENERAŁOWA.

Będziemy mieli wszyscy do czynienia, podzieliwszy się robotą, nikt prożnować nie będzie; a cożbyśmy na wsi inszego robili? Pokarmby nam niesmakował, gdyby pracą iakążkolwiek nie miał bydź przysolony.

ELEONORA.

Doświadczałam tey prawdy w tych czasach.

JENERAŁOWA.

Będziesz iey doświadczała i w przyszłości. Od WPani to zależeć będzie. — Idę teraz do siebie uczynić niektore rozporządzenia, i wnet powrocę. (*Odchodzi Eleonora z uniżonością kłania się.*)

SCENA VIII.

ELEONORA SAMA.

Sama się niepoznaię. — Coż bydź może? co krew moią w tey chwili tak srodze oburza; czemuż łzy moie płyną. -- Już udawało mi się bydź Panią bolu moiego, i ugłaſkać sobie, ową nie przymuszoną wesołość, ktora dawniey tak właściwą mi była; aż o to widok dziecięcia przeraża mnie, i przytomność prawie odbiera. — Gdy łaſkawa ta Pani imie Olesia wymowiła, o nieba niewiedziała, iż serce moie śmiertelnym przeszyła sztyletem. — J ia mam Olesia, ieżeli ieszcze żyie, tak ieſt, ieżeli żyie; ktoż wie? może on i mała Wiktosia moia iuż dawno są łupem śmierci. Czemuż mnie dręczysz, dokuczaiącego wyobrażenia obłudo? Dla czegoż wyſtawiasz mi ubogie dzieciny walczące przeciwko chorobom młodości; łaknące suchym ięzykiem napoiu, ktory im naiemnicza ręka podaie; a może

i odmawia. — Nieſtety, opuszczone są, od złey i nie czułey matki. (*Płacze.*) O iak mizernym i zarzuconym ſtałam się ieſteſtwem.

SCENA IX.

ELEONORA i JAKOB.

JAKOB. (*Bez tchu wpada i wrzeszczy co ma siły.*)

Ach biada nam! ach biada nam!...

ELEONORA.

Coż tam ieſt znowu?

JAKOB.

J. Wielmożny Pan Dobrodziey w padł w wodę, Jasna Wielmożność utopiła się.

ELEONORA.

Kto iak?

JAKOB.

Pan Jenerał, Pan Jenerał.

ELEONORA.

Utonął? utonął?

JAKOB.

Tak iest, tak iest.

ELEONORA.

Umarł.

JAKOB.

Nie, ieszcze nie umarł.

ELEONORA.

Więc WPan tak nie krzycz, żeby się otym Pani Jenerałowa niedowiedziała.

JAKOB.

Kto ia niekrzyczeć, ach biada nam, biada nam z Jaśney Wielmożności, ciecze iak z pudla, z całego ciała.

SCENA X.

CIŻ SAMI JENERAŁOWA, i MAIOR, *z rożnych stron przybiegaią.*

JENERAŁOWA.

Coż tam znowu?

MAIOR.

Co za hałas?

ELEONORA.

Przypadek łaſkawa Pani, ale rozumiem mało znaczący przypadek. — Pan Jenerał, nadto się podobno zbliżył do wody, i nogi sobie trochę zamoczył.

JAKOB.

Nogi, tak Pani drwi sobie, aż ponad głowę w rzekę wleciał.

JENERAŁOWA.

O! wielki Boże!

MAIOR.

Bieżmy prędzey.

ELEONORA.

Poczekay W Pan, Panie Maiorze uspokoy się W Pani Dobrdzieyka. — Niech będzie co chce. — Pan Jenerał iuż ieſt wyratowany nieprawda? Panie Jakobie.

JAKOB.

Dali pan Jasna Wielmożność nie umarł, że tak powiem ze wszyſtkim, ale bardzo mokry.

JENERAŁOWA.

Mow młody chłopcze, mow.

MAIOR.

Odpowiedz wszyſtko, co wiesz.

JAKOB.

Od początku, aż do końca?

JENERAŁOWA.

Tak, tak tylko prędko.

JAKOB.

Więc słuchaycie Państwo tylko By-

liśmy troie w tym tu pokoiu, ia, mey oyciec, i Pan Jenerał.

ELEONORA.

Tym sposobem Pan Jakob do wieczora nieskończy, krotko mowiąc byłeś tu W Pan w pokoiu, i poszedłeś z Panem Jenerałem na spacer.

JAKOB.

Właśnie tak, nie inaczey.

ELEONORA.

Do zwierzyńca.

JAKOB.

Właśnie tak.

ELEONORA.

J tam zaczęliście się przechadzać,

JAKOB.

Właśnie tak, zgaduiesz W Pani iak gdybyś umiała czarować.

ELEONORA.

Teraz, coś się daley stało?

J A K O B.

Dali się ſtało, ach biada nam. — Powracaiąc szliśmy nad ſtromieniem, a potym przybliżyliśmy się do moſtu chińſkiego, ktory moy oyciec ze ſtarego kurnika, pozbiiał, tam tedy poszedł Pan Jenerał na moſt i powiedział iż miło bardzo i przyiemnie, widzieć się daie, iak się rzeczka pomiędzy drzewkami przedziera, i pokamyczkach szumi; w tym tamże oparł się powoluteńku na poręczy, kri, kre kra, trzasła na dwoie poręcz, klap, plum i inżci leżała w wodzie Jasna Wielmożność.

E L E O N O R A

Ale zaraz go wyciągneliście.

J A K O B.

Ja, nie.

E L E O N O R A.

Ale oyciec?

J A K O B.

Oyciec także nie.

ELEONORA

Zostawiliście go tedy w wodzie leżącego?

JAKOB.

Zostawiliśmy go w wodzie, aleśmy wrzeszczeli co nam siły stało; i zdami się, iż precz, przecz za wsią musiano nas słyszeć.

ELEONORA.

J ludzie przybiegli zatym.

JAKCB.

Ten Pan Nieznaiomy przyleciał, ktory tam niedaleko mieszka, a ktory i słowa nie gada; to mi diabeł nie człowiek tylko raz skoczył, iuż był w wodzie, tam trzepał się, trzepał iak kaczka, schwycił Jasna Wielmożność za włosy, i wyciągnął na brzeg szczęśliwie.

JENERAŁOWA.

Niech mu nieba błogosławią temu Nieznaiomemu.

MAIOR.

A czmuż tu nieprzychodzą?

JAKOB.

Nadeydą niedługo i oni.

ELEONORA.

J Nieznaiomy?

JAKOB.

Ten zaraz, z tamtąd zemknął. — Pan Jenerał chciał mu dziękować, ale on iuż był Bòg wie gdzie zniknął....

SCENA XI.

CIŻ SAMI JENERAŁ, CIEMNOWIDZ,

JENERAŁOWA. *(Idzie na przeciwko, i ścisnąwszy męża.)*

Ach moy kochany!

JENERAŁ.

Trzy kroki od ciała; widzisz żonko żem zmokł cały.

JENERAŁOWA.

Prędko, prędko, poydźmy; czyftey bielizny.

JENERAŁ.

Nicto, nic, bądź spokoyna, iuż niebezpieczeńftwo minęło. — Stary żołnierz trochę się przekąpał; ale z tym wszyftkim fatalny koniec mogł był wziąść ten casus, gdyby nie ow wspaniałomyślny Nieznaiomy: ktoż ieft ten człowiek? Kto go zna? Ciemnowidz coś mi o nim, ni w pięć ni w dziewięć na baiał.

ELEONORA.

Nie można nic z iego poftępkow wyrozumieć; przed kilku miesiącami przybył w tę ftronę, i od Ciemnowidza domek ow przy zwierzeńcu naiął. Żyie spokoynie i cicho; nikogo niewiduie, a nikim nie mowi; widziałam go dwa

razy ale bardzo zdaleka; czołga się; ponury i na chylony ku ziemi, każdemu z drogi ustąpi, w skrytości zaś wiele świadczy dobrego

JENERAŁ.

Podźcież do niego Ciemnowidz, i poproścież go do mnie na wieczerzą; niech mnie odwiedzi, powiedz mu iż do domu przyiaciela zawita.

JENERAŁOWA.

Ale zapominasz się przebrać.

JENERAŁ.

Zaraz, zaraz.

JENERAŁOWA.

J proszek zażyć.

JENERAŁ.

Proszek; idź że mi moia serdeczna z twoim proszkiem; kielich węgrzyna, żeby krew żywiey nieco przez żyły przepędzić, to mi to lekarstwo, a waść Ciemnowidz słuchayno ieszcze, przyznać muszę, iż diabelsko wyrażny i

przenikaiący masz głos; umiesz ryczeć, że cię aż pod wodą dosłyszeć można.

CIEMNOWIDZ.

W szczerey chęci, iak nayprętszego usłużenia Jaśnie Wielmożnemu Panu.

JENERAŁ.

Ztwoim iednak mostem chińskim, możesz sobie poyść i do czarta.

JENERAŁOWA.

Już dosyć tego, poydziemy kochana Betty, poszukay W Pani proszek: ktory zawsze, w podobnych razach zażywany bywa.

ELEONORA. (*Bierze się do kluczow.*

Natychmiast. (*Odchodzi.*)

JENERAŁ.

Chcesz tak koniecznie? No, to dobrze; kiedy się kobieta przyswoim utrzyma; rozumie że iest w raiu, niechcę ciebie żonko tey roskoszy pozbawiać; idźmy. (*Odchodzi*)

SCENA XII.

MAIOR, CIEMNOWIDZ, JAKOB,

MAIOR.

Nauka dla WPana Panie ekonomie, nigdy z drzewa spruchniałego niebudować.

CIEMNOWIDZ.

Ale moy Boże! Wielmożny Mości Panie Maiorze, chciałoby się wszystko robić po gospodarsku, Państwo się z tego cieszy; i nareście taktęż bardzo spruchniały most nie był; tylko że Jaśnie Wielmożny Jenerał, cokolwiek przyciężki.

MAIOR.

Czemuż W Pan w wodę dla poratowania nieskoczył?

CIEMNOWIDZ.

Boże zachoway! byłbym na dno poszedł, iak ołòw; nie, co nie iest twym

urzędem tego nie czyń; miałem do tego ważny list w kieszeni, zmokł by był zupełnie, i stałby się był nie czytelny. _ List z Francyi od Chevaliera; iakże się zowie *dobywa list z kieszeni prędko go znowu chowa.*) Widzi Pan dobrodziey; mogłby kto rozumieć, iż nie prawda. _ Oy ten list, ciekawe rzeczy zawiera (*wyciąga chustkę, list mu wypada Jakób tym czasem nieznacznie go podnosi.* Swiat się nadtym zdziwi, a nikt na tę myśl nie trafi, że stary Ciemnowidz do całey tey rewolucyi należał.

M a i o r. (*Smieiąc się*)

Oy co tego, to prawdziwie nikt się nie domyśli, bądź W Pan zdrow tymczasem,; do zobaczenia idę do szwagra mego.

C i e m n o w i d z.

J ia też wyiść muszę, i most chiński kazać naprawić; może Jaśnie Wielmożna Jenerałowa.

M a i o r.

Będzie się chciała przekąpać.

CIEMNOWIDZ

Nie, nie, iuż go lepiey umccuiemy

MAIOR.

Więc idziemy obydwa.

CIEMNOWIDZ.

Służę Wielmożnemu Panu. (*Odchodzą.*)

JAKOB. (*Otwiera list.*)

To ma bydź list z Francyi, a wszakże to ręka wuia mego; Pałkowicza krawca z Warszawy, a moy oyciec powiada że z Francyi; coż mu też to z tego przyydzie że kłamie, (*Kiwa głową i odchodzi.*)

AKT III.

Okolica wieyſka iak na początku 1go Aktu.

SCENA PIERWSZA

NIEZNAIOMY. (*Siedzi na ławie z darni i czyta*) DOZORCA (*nadchodzi.*)

D o z o r c a.

Żegnam Pana, iadę do iego dzieci.

N i e z n a i o m y.

Czekay, znowu inne w mey głowie układy się snuią.

D o z o r c a.

Naprzykład?

N i e z n a i o m y.

Muszę to mieysce opuścić.

DOZORCA.

Dla czego?

NIEZNAIOMY.

Już mi się niepodoba.

DOZORCA.

Przyczyna?

NIEZNAIOMY.

Ważna, i wmym przekonaniu, za- dobrą uznana.

DOZORCA.

Szanuię ią, lecz pozwol mi słow kil- ka powiedzieć.

NIEZNAIOMY

Mow.

DOZORCA.

Dobry dziś uczynek wykonałeś.

NIEZNAIOMY.

Zkąd ta wiadomość?

DOZORCA.

Od ekonoma tuteyszego, ktorego niedawno spotkałem; powiedział mi, iż z Panen radby pomowić, i że zaraz nadeydzie.

NIEZNAIOMY.

J coż daley?

DOZORCA.

Odkrył mi, żeś życie dzisiay iednemu poratował.

NIEZNAIOMY.

Milcz.

DOZORCA.

A wiesz W Pan komu?

NIEZNAIOMY.

Nie.

DOZORCA.

Panu Jenerałowi Wesołowſkiemu.

NIEZNAIOMY.

Mnieysza oto.

DOZORCA.

Prawdziwie taki postępek, łzy czułemu człowiekowi wyciska.

NIEZNAIOMY.

Stara babo.

DOZORCA.

Tak uczciwy, tak dobry Pan:

NIEZNAIOMY.

Znowu chcesz mi podchlebiać!

DOZORCA.

Przysięgam na honor; że kiedy w cichości przypatruie się, iak WPan wkoło siebie dobrodzieystwa świadczysz iak niedolą każdego, za swoią bierzesz, a iednak sam szczęśliwym nie iesteś, ach! serce mi się na ten czas kraie.

NIEZNAIOMY. (*Zmieszany.*)

Dziękuię ci.

DOZORCA.

Kochany Panie, nie miey mi za złe

co powiem smutny humor, ponurość umysłu, słowem melancholia twoia, niepochodzisz, z gęstey i czarney krwi; słyszałem raz od sławnego lekarza, iż ona we krwi i nerwach, obrała swoie dręczące siedlisko.

NIEZNAIOMY.

Nie wtym iestem przypadku, dobry przyiacielu.

DOZORCA

Więc w istocie iesteś nieszczęśliwy? A iednak tak uczynny? Jak to trapi, iak to boli.

NIEZNAIOMY.

Cierpię niewinnie.

DOZORCA.

Cierpliwość wszystko zwycięży; wszak wszystko raz w życiu przecież się skończy.

NIEZNAIOMY.

Prawda że się skończy; alboż życie nie iest znikome? Z ostatnim tchem

ciała znikną marne obłudy; mieymy nadzieie, a ciężar ſtale dzwigaymy.

SCENA II

CIŻ SAMI CIEMNOWIDZ.

CIEMNOWIDZ.

Z pozwoleniem Pańſkim; zlecono mi ieſt od Jaśnie Wielmożnego Jenerała Pana mego, abym Panu nayprzodnaydzielnieysze dziękczynienie złożył, za znaiomą posługę, powtore kazał się kłaniać, potrzecie prosi do siebie do przyiacielskiego ſtołu.

NIEZNAIOMY. (*W lepia w niego oczy, nic nie mowiąc.*)

CIEMNOWIDZ. (*do Dozorcy.*

A W Pan chciey oto, Panu uczynić uwagę, aby mnie zniczym nie odesłał.

DOZORCA. (*Spoziera na niego z nieukontentowaniem.*)

CIEMNOWIDZ.

Wybaczcie Panowie, ieżeli iak naypokorniey iako przystoi słudze Jaśnie Wielmożnego Jenerała, zapytam się czyliście obydwa nie oniemieli. (*Patrzy na nich, pauza obraca się do Nieznaiomego mowiąc głośniey)* Łaskawe Państwo moie, rozkazali mi kłaniać W Panu Dobrodzieiowi, iak nayśliczniey, i prosić go, do ich domu na wieczerzą.

NIEZNAIOMY.

Jeść niechcę, i niebędę.

CIEMNOWIDZ.

Więc bądź Pan łaskaw poyść do nich przynaymniey.

NIEZNAIOMY. (*Z niecierpliwości.*

Niepoydę.

CIEMNOWIDZ.

Także? te słowa więcey powiedzieć niemam. — Tak mnie W Pan zimno odprawiasz? a tego stary Ciemnowidz to iest ia Mości Dobrodzieiu, w życiu

swoim nigdy nie doznał; Pan Jenerał przyięty iest wdzięcznością; ocaliłeś mu życie. . . .

N I E Z N A I O M Y.

Chętnie to uczyniłem, co powinnością było.

C I E M N O W I D Z.

J Pan tedy niechcesz, to czcze słowko, wziąć od niego w podarunku, zato zduszy dziękuie. . . .

N I E Z N A I O M Y.

Niechcę.

C I E M N O W I D Z.

Prawdziwie iest to bydź nie ludzkim; przyznam się, iż wszyscy chcielibyśmy go w domu naszym widzieć; wszyscy pałamy chęcią dowiedzenia się, kto Pan iesteś? gdyż od nikogo, chyba od niego sámego, oczy nam przetarte bydź mogą; żaden albowiem z naszych korrespondentów.

N E Z N A I O M Y. (*Mrucząc w stałe i odchodzi.)*

Ciemnowidz. (*Na stronie.*)

Co za tetryk ponury? Trzeba teraz do tego Jegomości attak przypuścić; zobaczmy, ieżeli się z tym co nie uda. Słuchayno W Pan.....

Dozorca. (*Tył mu obraca.*)

Ciemnowidz.

Początek bardzo mało wruży. — Przyiacielu, Mospanie, dla czegoż na mnie nie patrzysz.

Dozorca.

Bo wolę nieme drzewa, niż natręta oglądać.

Ciemnowidz.

A ktoż to WPanu powiedział. żem ia natręt? Lecz mnieysza; niedbam na iego pochwały; ale kiedy mnie widzieć niechcesz, mowże przynaymniey; zemną.

Dozorca.

Niebay wiele, a gaday Panie ekonomie, chcesz się o co zapytać, pytay, a kończ.

CIEMNOWIDZ.

No, to iuż, iako tako foremniey przecież było, *Więc* tedy, krotko przyſtępuiąc do rzeczy, kto ieſt Pan W Pan czy tam przyiaciel iego, kto on ieſt? Powiedz proszę.

DOZORCA.

Człowiek, męczczyzna.

Zapewne, że nie dama, bo by by daleko grzeczniey szym; lecz iak się zowie?

DOZORCA.

Nazywa się po nazwisku Oyca swego.

CIEMNOWIDZ.

A ten był?

DOZORCA.

Żonaty.

CIEMNOWIDZ. (*Z ironią.*)

Z kobietą iaką zapewne?

DOZORCA.

Właśnie trawiłeś W Pan.

CIEMNOWIDZ.

Coż go tu przyprowadziło?

DOZORCA.

Własna wola.

CIEMNOWIDZ.

Może że w poiedynku....

DOZORCA.

Zaiąca zabił.

CIEMNOWIDZ.

Może dezerter, zbieg.

DOZORCA.

Od dziewczyny.

CIEMNOWIDZ.

Albo też iest..

DOZORCA.

Tym kim iest.

CIEMNOWIDZ. (*Rozjuszony.*)

Przyiacielu! kto twoy Pan iest, nie przez ciebie, ale przez inne kanały, wiedzieć będę? Ale kto W Pan ieſteś Panie grzeczny, wiem arcy gruntownie.

DOZORCA.

Ktoż?

CIEMNOWIDZ.

O, o, lecz nie powiem gniewałoby się Paniątko; domyślam się; kłaniam. (*Odchodzi.*)

DOZORCA.

Gniewałbym się? co za pretensya? Jak to ludzie o ludziach sądzą; poszedł z kwitkiem nieborak, niewiele umnie pokarmu znalazł, do nasycenia ciekawości swoiey.

SCENA. III.

NIEZNAIOMY, DOZORCA.

NIEZNAIOMY.

Poszedł iuż przecię ten człowiek?

DOZORCA.

Poszedł.

NIEZNAIOMY.

Słuchay.

DOZORCA.

Słucham Pana.

NIEZNAIOMY.

J my precz z tąd musiemy.

DOZORCA.

Dokąd?

NIEZNAIOMY.

Bòg wie.

DOZORCA.

Poydę za Panem.

NIEZNAIOMY.

Wszędzie?

DOZORCA.

J na śmierć.

NIEZNAIOMY.

Dałby Bòg; tam ieſt prawdziwy pokoy.

DOZORCA.

Wszędze ieſt pokoy; niech z bokow wszyſtkich wichrzy, byleby w sercu nie było zawieruchy. — A Potym, w tey tu okolicy, tak ieſt przyiemno, iak i w innym iakim kącie świata; położenie ieſt powabne, natura szczodrobliwa w piękności i owoce

NIEZNAIOMY.

Ale niechcę, żeby na mnie oczy wytrzeszczano, nie ieſtem zwierzem z Afrykańskich ſtepow.

DOZORCA.

Jak WPan w mniemaniu swoim, każdey rzeczy dziwny obrot daiesz; że człowiek ktoremu się życie ocaliło, obrońcy swemu pragnie dzięki złożyć, to rzeczą bardzo naturalną znayduie.

NIEZNAIOMY.

Lecz niech mnie do żarłoctwa nie proszą.

DOZORCA.

Bądź Pan spokoyny, wątpię żeby to powtornie uczynili.

NIEZNAIOMY.

Nie rosstropni! sądzą iż usługa nayważnieysza iuż przez to samo iest wypłaconą, kiedy się raz może mieć szczęście, biesiadowania z niemi.

DOZORCA.

Prawda, lepszy i smacznieyszy skromny posiłek wdomu, gdzie za każdym kęsem, czynsz podchlebstw nie oddaie się, gdzie nikt nie iest przymu-

szony śmiać się z zimnych żarcikow, lub sławę trzeciego szarpać.

NIEZNAIOMY.

Wyiedziemy więc precz; uchodźmy z tąd.

DOZORCA.

Tylko cierpliwie; może się ta zgraia ludzi, wnet z tad rozpierszchnie; nieraz oni ze stolicy, na wieś przyieżdzaią, niby dla zdrowia i czystego powietrza; ale w krotce syci darow iednostayney natury nudzą sie, nie znayduiąc tu ani kart, ani arlekinow, ieżeli iakich sami z sobą nie przywieźli; nałog ich z tąd wypędzi, nałog, pamiętay W Pan wyiadą, wyiadą oni z tąd wkrotce....

NIEZNAIOMY.

Patrz, patrz, iak się tam uwiiaią mondury i kornety; tam, po nad łąką; poydę z tąd, niechcę tu zostać przy tak piękney pogodzie, muszę się, zatarasować, między cztery mury, aby tym gawronom poyść z drogi ieżeli

prawdziwe te natręty, gotowi wedrzeć się, aż do pokoiu mego, *(do Dozorcy)* słyszysz zamknę się na klucz ze szrodka. . . .

DOZORCA.

A ia zewnętrznie straż odbywać będę.

NIEZNAIOMY. (*Odchodz.*)

DOZORCA.

Jeżeli Panowie tak są ciekawi, iak ekonom, będę przymuszony bydź twardy iak głaz, niech się pytaią, niczego się odemnie nie dowiedzą, gdyż ia sam nic nie wiem, co się pod postacią tego cnotliwego męża ukrywa, że dobry, że uczciwy, to iest pewna, lecz i to pewna że niewiem kto on iest? Jaka zgryzot iego przyczyna? to druga pewność. Czas może wszystko odkryie.

SCENA IV.

JENERAŁOWA *prowadzona od* MAIORA, DOZORCA.

JENERAŁOWA.

Widzisz o to twarz nie znaioma, bez wątpienia przyiaciel iego, albo sługa.

MAIOR.

Moy przyiacielu, czy nie możnaby z iego Panem pomowić?

DOZORCA.

Nie.

MAIOR.

Tylko na minut kilka.

DOZORCA.

Zamknął się.

JENERAŁOWA.

Powiedz mu W Pan, iż dama pewna czeka na niego.

DOZORCA.

Na ten czas wcale nie otworzy.

JENERAŁOWA.

Może płeć naszą nie nawidzi?

DOZORCA.

Cały rodzay ludzki nienawidzi w ogolności, a kobiety wszczegòlności,

JENERAŁOWA.

Dla czego?

DOZORCA.

Może został oszukanym.

JENERAŁOWA.

Więc Jegomość, wcale nie iest grzeczny.

DOZORCA.

Na grzeczności zbywa mu wprawdzie, ale kiedy przydzie, życie komu ocalić, z niebezpieczeństwem własnego, nigdy tego nie omieszka.

MAIOR.

Nas tu także, nie prosta grzeczność prowadzi; żona i szwagier wyratowanego, życzyliby sobie Panu twemu, wdzięczność swoię okazać.

DOZORCA.

Gardzi nią.

MAIOR.

Osobliwy człowiek.

DOZORCA.

Ktory nic sobie bardziey nie życzy, iak żyć spokoynie i cicho.

JENERAŁOWA.

Pewnie się z fortuną poroznił?

DOZORCA.

Może.

JENERAŁOWA.

Może punkt honoru? Może nieszczęśliwa miłość.

DOZORCA.

Dla czego nie?

JENERAŁOWA.

Albo może wietrznik?

DOZORCA.

Może.

JENERAŁOWA.

Niech będzie co chce, życzyłabym sobie wiedzieć kto on ieſt.

DOZORCA.

J ia także.

JENERAŁOWA.

Jak to, i W Pan go nieznasz?

DOZORCA.

Znam go, lecz tylko z iedney ſtrony, to ieſt znam serce i duszę iego; rozumiesz Pani, że się iuż zna ludzi, kiedy się zna ich nazwisko?

JENERAŁOWA.

Brawo, podobasz mi się, ale życzy-

łabym-sobie poznać i iego; ktoż WPan iesteś, sługą, czy przyiaciel?

DOZORCA.

Jey nayniższy podnożek. (*Odchodzi*)

SCENA V.

JENERAŁOWA, MAIOR.

MAIOR.

Kaprys, przywidzenie; chce się osobliwszym pokazać każdy chciałby, w gronie braci, czymsiś rożnić się od innych, świat cały obżagla; ten zaś w cichey chatce się kryie.

JENERAŁOWA.

A sługa naśladuie Pana; podźmy braciszku; poszukaymy męża mego, poszedł tu niedaleko na łąki z Panią Betty.

MAIOR.

Wprzody słow kilka, Siostro, zakochałem się.

JENERAŁOWA.

Ktoryż to iuż raz w życiu?

MAIOR.

Pierwszy raz.

JENERAŁOWA.

Winszuię.

MAIOR.

Do tych czas wywinęłaś mi się; lecz teraz siostro proszę cię; ktoż iest ona? nie bądź trzpiotowatą i śmianie ma swoy czas.

JENERAŁOWA.

Zmiłuy się, iuż będę posłuszną; ale nie rzucay na mnie wzroku tak obłąkanego, na coż się przyda, to zasępienie czoła, iak gdybyś duchy iakie chciał z pod ziemi wywołać. — Bez śmiechu i serio zatym, chociaż o nayśmiesznieу-

szey rzeczy na świecie, bo o miłości; zkąd, i kto iest Pani Betty? niewiem, i iużem cię o tym uwiadomiła; ile zaś mimo tego wiedzieć oniey mogę, nie ukryię przed tobą. Będzie temu blisko lat trzech, iak mi przypomroku wieczora iednego, doniesiono kobietę, ktora zemną z osobna mowić żądała. Przyięłam wizytę, i Pani Betty stawiła się z tą samą powagą, rozsądkiem, i skromnością, ktore i ciebie oczarowały; na iey licach wyczytać można było, widoczne wyrycie boiaźni i pomieszania, ktore teraz w pełną słodyczy melancholiią zamieniły się. Upadła mi do nog z prożbą poratowania nieszczęśliwey, bliskiey rozpaczy ofiaruiąc się służyć za Pannę. — Badałam prożno o przyczynę iey cierpienia, ona na całą taiemnicę, nie przeyrzaną umiała rzucić zasłonę. — Już więcey potym, wdzierać się w iey zaufanie, nie było myślą moią. — Gdy mi razu iednego na pewney przechadce tutay towarzyszyła, wyczytawszy wiey oczach spokoyne zychwycenie ktorym duszą iey nad pięknością natury prze-

ieta była. — Zapytałam sie; czyliby tu zostać, i domowe gospodarstwo przyiąć na siebie nie chciała. — Pochwyciła rękę moię, i do ust swych z nadzwyczaynym ogniem przycisnęła; wdzięcznością zaięta iey dusza, w łzach niemych malowała się; od tey chwili bawi się tutay, świadczy pokryiomu niezliczone dobrodzieystwa, i iest kochaną od wszystkich, co ią otaczaią.— *(Z ukłonem)* skończyłam Panie bracie.

M A I O R.

Za małoś powiedziała, by całey moiey ciekawości dogodzić; dosyć iednak, żeby przedsięwzięcie, skutkiem uwieńczyć; siostro! bądź mi pomocą zaślubię ią sobie. . . .

J E N E R A Ł O W A.

Ty?

M A I O R.

Ja.

J E N E R A Ł O W A.

Pan Maior z Prawdzickich, za Prawdziczu Prawdzicki.

MAIOR.

Co mowisz siostro? Wstydź się, może myśli twoiey z gruntu nie poiąłem. — Ale.

JENERAŁOWA.

Ale tylko nie tak kwaśno zaraz Owe wielkie i wysokie waxymy, o rowności stanow, są prześliczne w romansach, ale my zawsze na świecie idealnym żyć nie możemy.

MAIOR.

Bez kazań siostro kochana. — Prawdziwa miłość mało uważa na przeszkody, ktore grube uprzedzenie wystawia. Nie iestem iuż impetycznym, burżliwym, zapalonym młodzieńcem; ale widzisz męża przed sobą, ktory....

JENERAŁOWA.

Ktory żonę poiąć pragnie.

MAIOR.

Nie, ktory rostropnie i z zimną krwią na sprawiedliwey szali odważył

korzyść i stratę; spokoyność domową, i przepych dworów; szczęśliwość życia, i prożne przyzwoitości. — Słuchay siostro zarzucasz mi nieznacznie urodzenie; wysławiay mi iak chcesz herbów tysiące, ia ludzi ztąd tylko szanuię, że są podobnemi mi ludźmi. — Pan właśney woli, chcę ią wziąść sobie za żonę, nikt mi tego zabronić nie może; a potym ktoż wie, iakiego i ona iest urodzenia proszę, błagam cię siostro, bądź mi pomocą przyłoż swego starania, proszę cię oto.

JENERAŁOWA.

Wysłuchałam cię cierpliwie; widzę że przez ciebie, bardziey mowi namiętność. niźli zimne zastanowienie.

MAIOR.

Och! iuż mi nie czyń reflexyy; pomyślałem dobrze nad tym co czynię; wozić iey po dworach xiążęcych nie będę, osiedę z nią sobie na wsi, sam sobie wystarczę, czuć zaś własne moie szczęście, serce mnie nauczy. — Widzę iuż uszczęśliwienie moie w osobach ktore

mnie otaczać będą, Szwagier Jowialista; siostrzyczka czuła i przywiązana, małżonka ukochana; czegoż człowiek żądać wiecey może?

JENERAŁOWA.

Pięknie mowisz, układ proiektu iak naylepszey, tylko ieszcze iedney małey rzeczy zapomniałeś.

MAIOR.

A ta iest?

JENERAŁOWA.

Czyli cię Pani Betty mieć zechce?

MAIOR.

W tym też właśnie siostro pomoc twoia iest mi potrzebną. *) Bierze iey rękę.)* znasz serce moie, nie tak się łatwo zapali, ale kiedy też kocha, kocha bez miary. — W woysku Francuzkim z rozkazu rodzicow moich wzrosły wśrod zdradzieckich i upiekrzonych sztuką kobiet, prawda że się czasami w sidła wplątało; słowem zgrzeszyło. — Lecz do czegoż ogień młodości, i

towarzystwo w ktorym się żyie nie nakłoni? Mineły iuż te czasy odurzaiących uciech, teraz o trwalszych pomyśleć należy; teraz i moia iuż nadeszła godzina.

JENERAŁOWA.

Dobrze ci tak; tylko szkoda, że na tak dobrą i powolną duszę trafiłeś; szkoda, że Pan Brat u kolan Xantyppy iakiey nie uległ.

MAIOR.

Ona tylko wzruszyć mnie zdołała; więc tedy luba siostro, z ktorą u iednychże piersi leżeliśmy.

JENERAŁOWA.

Wybacz nie zawsze u iednych, zapominasz może, iak u wielu razem z tobą nie byłam.

MAIOR.

Okrutna!

JENERAŁOWA.

Osobliwa głowo! precz te narzekania

Oto masz rękę moią; daię ci słowo, a to bez wszelkich oświadczeń i obietaio iż czynić będę, co tylko w moiey mocy będzie ale. *(Ogląda się)* Cicho, ledwo co nas nie wysłuchano. — Idą tu, porzuć że tę minę małżeńską; czekay cierpliwie końca gry, ia sama karty zamięszam.

SCENA VI.

CIŻ SAMI ELEONORA *prawadzona od* JENERAŁA, *przy końcu* JAKOB.

JENERAŁ.

Dalibog prawda kochana Pani, przedziwnie piechotą chodzisz; niech z W Panią kto inny o zakład biega, ia niechcę.

ELEONORA.

Przyzwyczaienie Mości Dobrodzieiu

wychodź Pan tylko codziennie, przez cztery tygodnie a zobaczysz.

JENERAŁ.

Tak ieſt chybaby mnie ochotka wzięła, ſtania się podobnym moim chartom wołowskim.

JENERAŁOWA.

Gdzieżeście byli? Szukaliśmy was.

JENERAŁ.

Gdzieśmy byli? wiedz że o tym moy aniołku że kiedy się z Panią Betty idzie; to właśnie wiedzieć nie można gdzie się człowiek znayduie.

ELEONORA.

Zaprowadziłam Jmci Pana Jenerała, na ow pagorek, z ktorego piękność położenia mieysca tego, naydokładniey rozeznać można.

JENERAŁ.

Prawda, widok ieſt piekny; ale ſtać tuż przy W Pani. (*do Eleonory*) i przysłuchiwać się, iak poetycznie, i pitore-

sko wdzięki natury maluiesz, to ieszcze piękniey; nie gnieway się iednak, gdy ci powiem, że mnie iuż nigdy tam nie wyciągniesz. Nogi moie nie wystarczą; nie, czuię dobrze żem wiele chodził.

MAIOR.

Idźmy więc do domu, wygodna kanapa zdaie się zapraszać.

JENERAŁ. (*Smieiąc się.*)

O! pomyśleć tylko o tym, to iuż się człowiek zasila. — Lecz teraz, tak iestem zmordowany, takie mam pragnienie, iż koniecznie w przody popasać muszę, i oschłe podniebienie walną iaką libacyą pokropić; niebyłożby dobrze Panie Szwagrze, żebyśmy tam w krzewinie zasiedli, i butelkę wina przynieść sobie kazali.

JENERAŁOWA.

Myśl dobra; my kobiety, tym czasem pobiegaymy sobie ieszcze. (*Daie znak bratu swemu.*)

MAIOR. (*Do Jenerała.*)

Dobrze, będę kochanemu Szwagrowi służył.

JENERAŁ.

Toś łepski; ale dokąta cpętana rzecz, niemasz kogo posłać do dworu, coś mi się zdaie, że to Jakob trzęsie tam gruszki przy parkanie. (*Patrząc na wszystkie strony.*) a tak iest, on, on sam, Jakobie; hey Jakobie!

JAKOB.

Słyszę, słyszę biegnę, stoię.

JENERAŁ.

Skocz predko do pałacu, i przynieś butelkę wina węgierskiego, i kielszki dla nas; dla nas rozumiesz.

JAKOB.

Wina i kieliszkow dla nas, rozumiem (*Odchodzi.*)

JENERAŁ.

Poydź więc Maiorze, obóz nasz tym

czasem tu w podle rozłożemy. — Damy widze niechcą pyć z nami.

MAIOR. *(Idzie za nim, gdy już wielorakie z siostrą ukradkiem dali sobie wzaiemnie znaki.)*

SCENA VII.

JENERAŁOWA ELEONORA.

JENERAŁOWA.

Wyznay mi teraz kochana przyiaciołko iak ci się podoba, mąż co dopiero wyszedł?

ELEONORA.

Ktory?

JENERAŁOWA.

Moy Brat.

ELEONORA.

Wart bydź Bratem W Pani Dobrodzieyki.

Jenerałowa. (*Z ukłonem.*)

Uniżenie dziękuię; w pugilares to moy zapiszę.

Eleonora.

Bez podchlebstwa Mościa Dobrodzieyko, widzę w nim cnotliwego człowieka.

Jenerałowa.

J pięknego człowieka.

Eleonora. (*Z oboiętnością.*)

O! tak iest.

Jenerałowa.

O! tak iest; to właśnie, tak brzmiało w iey ustach, iak gdybyś mowiła, o nie. — Ja zaś W Pani powiedzieć muszę, że on w niey widzi piękną kobietę (*Eleonora śmieie się.*) nic na to nie mowisz?

Eleonora.

Coż mam mowić? Szyderstwo z ust W Pani Dobrodzieyki wychodzić nie

zwy-

zwykło. — Więc to by żart ale ia do długiego utrzymywania żartu, w cale nie iestem zdatną.

JENERAŁOWA.

Tak, iak bydź iego pobudką; nie, nie żartuię; więc pomyśl.

ELEONORA.

Niewiem co odpowiedzieć; sama siebie niechcę upiękrzać; był w prawdzie czas, kiedym się za piękną poczytywała; ale kłopot, wiele uiął okrasy moiey; ach spokoyność serca iedynie twarzy kobiecey,owe czaruiące powaby udziela, ktore wzrok uczciwych mężow usidlić mogą.

JENERAŁOWA.

Dałby to Bog, żebym zawsze, tak czyste miała serce, iakie się w oczach W Pani wydaie.

ELEONORA. *(Wzdycha i prędko.)*

Niech ią nieba zachowaią od tego.

JENERAŁOWA. (*Z podziwieniem.*)

Jak to?

ELEONORA. (*Łzy zatrzymuiąc.*)

Pofolguy mi łaskawa Pani; iestem nieszczęśliwa; winy moie, nie daią mi żadnego prawa do przyiaźni szlachetney iey duszy, ale do miłosierdzia, i do litości. (*Chce odeyść.*)

JENERAŁOWA. (*Bardzo łaskawie.*)

Zostań się kochana Betty! musisz się zostać; rzecz ktorą ci chcę odkryć, warta iest wysłuchania. — Własne twe oskarżenie, nie odstrasza mnie; zdaie ci się iż za każdym krokiem piekło widzisz, ale te mary w wyobrażeniu twoim, znayduią się szczególnie.

ELEONORA.

O! dałby to Bóg żebym piekło przed sobą tylko widziała; udręczona, noszę go wszędzie z sobą w sercu występnym.

JENERAŁOWA.

Przyiaźń na wielkie rany, ma sku-

teczny balsam; pierwszy raz proszę ią o zaufanie; wiadomo W Pani ieżelim, iey w przeciągu lat trzech znaiomości naszey, niedyskretną ciekawością była kiedy ciężarem; dzisiay szlachetnieyszy intereſs powoduie mną; upraszam o iey ufność, z miłości dla brata moiego. Moy brat kocha W Panią.

E l e o n o r a. (*Z otrworżeniem w oczy patrząc Jenerałowey.*)

Jeżeli żart to zawiele, ieżeli nie to nowy cios dla mnie.

J e n e r a ł o w a.

Nim daley poſtąpiemy, pozwol mi żebym ci pierwey, charakter brata moiego odmalowała, a przyrzekam, iż pędzlem nie sioſtry ręka powodować będzie; mogłabyś go łatwo, za lekkomyślnego poczytać; gdyż ledwo cię widział, a zaraz pokochał; lecz przyiaciołko ieſt on człowiekiem ſtałym, gruntu doświadczonego; nie poſtać, nie bogactwa, nie urząd, wyborem iego kierowały; szukał serca od natury, umysłu wychowaniem, wydoskonalonych;

oboyga tego, dałaś mu dowody; potaiemne twe dobrodzieystwa, nie zostały przed nim ukryte, a rozum twoy..... Szanuię to skromne wstydliwe zarumienienie się; słowem brat moy w tym względzie patrzy na ciebie, teraz uważ sama, czyli prosić cię o zaufanie nie miałam prawa? Odkryi się przedemną; nic natym nie stracisz, wyley rzetelnie troski twoie na łono, umięiącey zamilczeć siostry, a twoiey przyiaciołki.

ELEONORA.

O! Boże, czuię to z boleścią, że naywiększa ofiara ktorą prawdziwa skrucha przynieść może, iest dobrowolne wyzucie się z szacunku ludzi nam miłych; uczynię nakoniec tę ofiarę; lecz niestety! czylisz szczerość moia, iuż mściwym zgryzotom koniec położy. *(Z łkaniem.)* Niesłyszałaś WPani Dobrodzieyka kiedy, o ciężko, ciężko iest przedrzeć żałosnę zwodniczey obłudy, ktorey szczególnie do tych czas łaskawość i przywiązanie WPani Dobro-

dzieyki winna byłam; ale tak ſtać się musi. Wſtydź się Eleonoro przyſtoisz ci pycha? Niesłyszałaś Pani kiedy o pewney Pułkownikowey Zacniewskiey.

JENERAŁOWA.

Jeżeli się nie mylę, słyszałam; mówiono mi niegdyś, o tym ſtworzeniu, powiadano, że zacnego, i czci godnego małżonka, uczyniła arcy nieszczęśliwym.

ELEONORA.

O nieba! tak ieſt, bardzo zacnego i czci godnego małżonka.

JENERAŁOWA.

Ubiegła od niego, z iakiemsiś oszuſtem, zwodzicielem.

ELEONORA.

Tak ieſt ubiegła, uciekła od niego. *(Pada bez przytomności do nóg Jenerałowey.)* nie od pychay, nie odrzucay mnie; udziel choć nayszczuplevsze mieysce, naktorymbym skonać przynaymniey mogła.

Jenerałowa.

Co słyszę? W Pani byś była. . . .

Eleonora.

Ja ieſtem tym ſtworzeniem wyſtępnym. . . .

Jenerałowa. (*Odwracaiąc się zgniewem.*)

W Pani. *Oddala się kroków kilka; serce nazad ią ciągnąć zdaie się.*) Ale nieszczęśliwą ieſt pokutuie surowo. (*Z litością spoziera na nią.*) Wſtań WPani, proszę wſtań WPani; mąż i brat moy nad to są blisko; przypadek ten nie cierpi świadkow, przyrzekam iey milczenie. (*Podnosi ią.*)

Eleonora.

Sumnienie moie, sumnienie!, nigdy milczeć nie będzie. (*Sciskaiąc rękę Jenerałowey.*) nie odpychay, nie odrzucay mnie.

Jenerałowa.

Nie, nie oddalę W Pani od siebie;

postępki iey w trzech rokach ostatnich, iey żal, skruszenie serca, niech zatrą wprawdzie występku, ale schronienia wolnego, serce moie nie odmowi WPani. — Tu będziesz mogła opłakiwać dozgonnie stratę męża twoiego.

ELEONORA. (*Z zimną rozpaczą.*)

Ach! stratę nienadgrodzoną.

JENERAŁOWA.

Biedna kobieto.

ELEONORA. (*Zawsze tym samym tonem.*)

Miałam także i dzieci.

JENERAŁOWA.

Dosyć iuż.

ELEONORA.

Bòg wie, czy żyią, czy umarły.

JENERAŁOWA.

Nieszczęsna matko.

ELEONORA.

Posiadałam godnego kochania małżonka.

JENERAŁOWA.

Nie dręcz się więcey,

ELEONORA.

Bòg wie czy żyie, czy umarł?

JENERAŁOWA.

Żal cię unosi.

ELEONORA.

Już dla mnie umarł.

JENERAŁOWA.

Uspokoy się.

ELEONORA.

Miałam i podeszłego oyca.

JENERAŁOWA.

Dla Boga, dosyć iuż tego.

ELEONORA.

Czarna zbrodnią corki, dogryzła życia iego ostatek,

JENERAŁOWA.

Jak się mści dotkliwie cnota obelżona.

ELEONORA. (*W gorzkie i głośne łzy nakoniec wpadaiąc i twarz sobie zasłaniaiąc.*)

A ia ieszcze żyię.

JENERAŁOWA.

Ktoż by ią mogł nienawidzić? (*Uścisnąwszy Eleonorę.*) nie, nie iesteś występną; moment ten był snem, obłąkaniem, zapomnieniem się.

ELEONORA.

O nie nie ochraniay mnie, nayłaskawsza Pani! gdybyś wiedziała, iż każde naymnieysze zbrodni moich ulżenie, tym mnie srożey przenika; nie, nie mogę bydź usprawiedliwioną; iedyne i smutne serca zaspokoienie, w tym tylko znayduię że się bez żadnych wybiegòw, godną wzgardy i obelgi uznaię.

JENERAŁOWA.

Takowe oświadczenie, cechą iest nie zmyślonego żalu.

ELEONORA.

O gdybyś go WPani Dobrodzieyka widziała była w tedy, kiedym go pierwszy raz poznała, tego pięknego i cnotliwego męża.. Ledwo lat czternaście liczyłam na ten czas.

JENERAŁOWA.

A związek ich.

ELEONORA.

W kilka miesięcy naftąpił.

JENERAŁOWA.

Ucieczka zaś W Pani?

ELEONORA

Dwa lata byłam iego małżonką.

JENERAŁOWA.

W tym razie doświadczenie młodości wymowić ią może.

ELEONORA.

Nie, młodość moia bynaymniey mnie nie wymawia, (*Spoziera ku niebu.*) fta-

ry, czci godny Oycze, byłoby to cie- bie oſkarżać; wszczepiłeś w serce mo- ie, prawidła honoru i cnoty, oſtrzega- łeś mnie o truciznie podchlebſtwa, i zdradnego podeyścia.

JENERAŁOWA.

Coż może wychowanie na przeciw- ſakiemu Lowelasawi.

ELEONORA.

Powinnam się była poznać na zdray- cy, ktory nie wart był weyścia w prog domu męża moiego; ale byłam tak wielce zaślepioną; dzieci, oyca i mał- żonka opuścić! zgromiłam głos wewnę- trzny na moment, cnotę na zawsze ſtłumiłam.

JENERAŁOWA.

Ztem sercem iednak przyiaciołka moia długo błądzić nie mogła.

ELEONORA.

Aż nadto długo; prawda, iż w kil- ka tygodni szum zapamiętałości ule-

ciał; struchlałam, przywoływałam z rozpaczą nazwisko uczciwego małżonka, lecz na prożno; oblana zimnym potem, całowałam na uściskanie niewinnych dzieciąt na prożno; nieſtety iak srogie mnie na ow czas dręczyły katownie, kiedy mgła z przed oczow moich upadła.

JENERAŁOWA.

Oddal te przykre wspomnienia, domyślam się końca; opuściłaś zdraycę.

ELEONORA.

Tak ieſt, i udałam się pod opiekę wspaniało-myślney duszy, ktora mi dobrotliwie to mieysce ofiarowała na ktorym płakac mogę i gdzie za iey łaską dni życia mego zakończę. (*Pada iey do nóg.*)

JENERAŁOWA. (*Scisnąwszy ią serdecznie.*)

Tu, tu na łono moie, niech w przyszłości łzy twoie płyną; niczego sobie bardziey nie życzę, iak w skrzesić w

twym sercu pocieszaią ufność w miłey nadziei.

ELEONORA.

Ach nie! nigdy w mym życiu.

JENERAŁOWA.

O twoim mężu, nic potym nie słyszałaś.

ELEOOORA.

Opuścił miasto, w ktorym żył, i nikt nie wie dokąd się udał.

JENERAŁOWA.

A dzieci?

ELEONORA.

Wziął z sobą.

JENERAŁOWA.

Będziemy się wywiadywać, musiemy: cicho, mąż moy i brat; ach moy biedny brat wcale o nim i zapomniałem, prędko kochana przyiaciołko przybierz wesołą minę.

SCENA VIII.

CIŻ SAMI JENERAŁ i MAIOR, *nadchodzą z kieliszkami w ręku, przy końcu* JAKOB.

J a k o b. (*Zostaie się w tyle cokolwiek.*)

J e n e r a ł.

No, idźmy dzieci, coś zimno bydź zaczyna spieszmy do domu.

J e n e r a ł o w a.

Wszak nie tak ieszcze poźno?

J e n e r a ł.

Mniemaciesz więc, chociaż żołnierz iestem, iż nie dosyć dzisiay iuż wytrzymałem. — Nayprzod podroż, potym zimna kąpiel, potym marsz forsowny, pod komendą Pani Betty.

J e n e r a ł o w a.

Niechże iuż i tak będzie, gotowe iesteśmy.

Jenerał. (*do Maiora ostatek z kieliszka wypiiaiąc:*)

Skończmy Maiorze. (*Wyprożniaią kieliszki.*) hey Jakobie, odnieś te kieliszki. .... Coż to do czarta i waść piiesz wino iak widzę.

Jakob.

A tak piie, smaczne ieſt, smaczne.

Jenerał.

Ktoż to waści pozwolił?

Jakob.

Jasna Wielmożność roskazał.

Jenerał.

Ja.

Jakob.

Tak ieſt, czyż Pan nie powiedział, przynieś kieliszki dla nas, dla nas.

Jenerał.

Dla mnie i dla Maiora.

JAKOB.

No wszak i ia przytym stałem?

JENERAŁ.

Chłopcze, waść nadto wcześnie zgłupia frant iesteś. No, naprzod; marsz. A propos, iakże z nieznaiomym, czy nadeydzie?

JENERAŁOWA.

Nie; wyraźnie ekonomowi odmowił.

JENERAŁ.

Cudowny iakiś z niego święty! ale to iednak tak nie uchodzi; muszę mu rękognicyą moią, iakimkolwiek bądź sposobem okazać. Wiesz WPan co Panie Szwagrze, zaprowadź żonkę moią do domu, a potym idź WPan sam do niego, i proś go do nas.

MAIOR.

Jeżeli w tym przysłużyć się mogę chętnie bardzo.

JENERAŁ.

Kawałek chleba przynaymniey ofiarować mu muszę. *(Bierze pod ramie Eleonorę, a Maior Jenerałową i odchodzą.)*

JAKOB.

Biorę teraz, każdego chrześcianina człeka za sędziego, i pytam się, kiedy ich troie razem stoi a Jasna *Wielmożność* mowi, skocz po kieliszki dla nas, czyż i ia także między to nas nie należę? A zaraz burka. Tym czasem iednak winko smakowało i dosyć mi na tym. *(Trzęsie głową i odchodzi.)*

A K T IV.

Okolica wieyſka w głębi teatru widać część iedną zwierzyńcá i domek w ktorym mieszka Nieznaiomy.

SCENA PIERWSZA

DOZORCA *w krotce potym* MAIOR.

DOZORCA.

Już lat trzy temu, iak usługi moie, poczciwemu Panu moiemu ofiarowałem, a ieszcze przyczyny ponurości iego dociec nie mogłem; dla niego piękna natura żadney ponęty, życie żadnego nie ma powabu, nigdy go śmieiącego się nie widziałem. Zaboyca samego siebie żeby się przynaymniey doiakiegożkolwiek ſtworzenia przywiązał; człowiek ten cożkolwiek przecię ko-

chać musi. Ale nie, niczym się nie-bawi tylko czytaniem a w myślach za-nurzony, ieżeli usta otworzy, to tylko na spotwarzenie rodzaiu ludzkiego. Z tym wszystkim nędzę i ubostwo bez wsparcia od drzwi swoich nigdy nie od-dala; sposob życia iego i ia iuż powoli przeymuię; znayduię roskosz w oso-bności, przed ktorą dawniey uciekałem. (*Widzi zdaleka Maiora.*) O ho iużci znowu napastować nas będą, szpieguią nas zewsząd, i chwili nam dzisiay, spokoyności niechcą dozwolić. (*Chce odeyść.*)

MAIOR.

Poczekay moment moy przyiacielu

DOZORCA. (*Na stronie.*)

Miły Boże! iak też to ludzie tym nazwiskiem przyiaciela frymarczą.

MAIOR.

Chciałbym z Panem twoim pomowić.

DOZORCA.

Nie mogę w tym usłużyć.

MAIOR.

Dla czego?

DOZORCA.

Zakazano mi.

MAIOR. *(W tyka mu w rękę pieniądze.)*

No, weź to, a zamelduy mnie.

DOZORCA.

Ja, nie potrzebuię pieniędzy.

MAIOR.

Więc oznaym mnie tylko.

DOZORCA.

Dobrze, oznaymię WPana, ale coż to pomoże? Ja złaiany zostanę a WPan odbierzesz odpowiedź niezgodną z swym życzeniem.

MAIOR.

Ktoż wie? Powiedz mu iż go tylko na minutę upraszam, iż w żadnym względzie, niechcę mu bydź ciężarem.

Jeżeli Pan twoy dobrze ieſt wychowany, sądzę, iż czekać mi na prożno pod gołym niebem niekaże.

DOZORCA.

Jdę, może mi się poszczęści.

MAIOR. (*Woła za nim.*)

Słyszysz tylko go na iedną proszę minutę.

DOZORCA.

Już dobrze. (*Odchodzi.*)

MAIOR.

Ztym wszyſtkim, ieżeli nadeydzie; iakże go przyiąć? Jak się z nim obeyść? Na nieprzyiaciela ludzkości, nigdy ieszcze w biegu życia moiego nie natrafiłem. Wielu bardzo pisarzow ogromne i piękne foliały, o obcowaniu z ludźmi napisało, ale wszyscy zapomnieli dać nam naukę, iak się z takową obchodzić iſtotą, ktorey świat cały, i własne życie obmierzły; niech będzie iednak co chce; na szczęście, twarz otwarta, przyiazna, nie nadto śmiała,

nie nadto trofkliwa, sprobuię temi sposoby, iako tako z każdym znaleść się można.

SCENA II.

MAIOR, NIEZNAIOMY.

NIEZNAIOMY.

Czekam na rozkazy.

MAIOR.

Wybacz WPan. (*Poznaie go nagle.*) Zacniewfki...

NIEZNAIOMY. (*Poznaie go także.*)

Prawdzicki. (*biegną do siebie w zaiemnie ściskaią się.*)

MAIOR.

Tyś to, tyś to iefteś, moy dawny przyiacielu.

NIEZNAIOMY

Jeſtem nim, ieſtem twoim, przyiacielem.

MAIOR.

Moy Boże iakże cię smutek, i zgryzoty zmieniły.

NIEZNAIOMY.

Pioruny nieszczęścia! cios po ciosie, ciężko na mnie padały; ale zkąd się tu wziąłeś? czego chcesz?

MAIOR.

Stoię tu i myślę, iak Nieznaiomego puſtelnika przywitać? Jak z nim rzecz rozpocząć? Przychodzi, aż oto kochanego przyiaciela znayduię. (*Sciska go powtornie.*)

NIEZNAIOMY.

Czy nie szpiegowałeś mnie czasem? Czyś nie wiedział iż mieszkańcem tey chatki ieſtem?

MAIOR.

Nie wiedziałem, na honor. Ocalileś

dziś życie szwagrowi memu; wdzięcznością przeięta familiia moia, chciała cię w pośrodku siebie oglądać; odmówiłeś prozbom iey, przez usta ekonoma. — Żeby tedy zaproszeniu więcey dać waloru, posłano mnie do ciebie; widzisz za tym środki, ktore mi przypadek zdarzył, znalezienia tu przyiaciela moiego.

NIEZNAIOMY.

Nie inaczey, iestem twoim przyiacielem, twoim prawdziwym przyiacielem. Dobry człowiek, rzadki człowiek iesteś, serce moie nie odmienne iest dla ciebie; ale ieżeli to zapewnienie, iest ci szacownym i miłym, Prawdzicki opuść mnie, zostaw mnie, i nie powracay tu nigdy.

MAIOR.

Wszystko, co w tobie widzę, wszystko co od ciebie słyszę, staie się dla mnie zagadką; poznaię cię, twarz twoią przypominam sobie; ale nie są to te same lica, ktore niegdyś francuzkie

dziewczęta kochały nie widzę w tobie owego humoru, bez przymusu wesołego, ktory radość w zgromadzeniu każdym podwaiał.

NIEZNAIOMY.

Zapominasz że siedmiu laty ſtarszy ieſtem!

MAIOR.

Alboż to tak wielka liczba. Niemożesz mieć więcey, iak lat trzydzieści i kilka; czemuż unikasz spoyrzenia mego? czemu na mnie nie patrzysz? Obawiasz się, żebym w oku twoim zwierciadła twey duszy nie widział? Gdzież ieſt, ow wzrok pełen ognia, ktory niegdyś w sercach wszyſtkich ludzi czytał?

NIEZNAIOMY. (*Kwaśno.*)

Wszak moy wsercach ludzkich czytał? ha, ha, ha.

MAIOR.

O Boże! chętniey bym sobie był życzył, nigdy cię śmieiącego się niesły-

szeć, niźli w tym tonie. — Przyiacielu coż się ſtało?

NIEZNAIOMY.

Zdarzenia codzienne! bieg świata, przypadki proſte, o iakich na wszyſtkich ulicach gadaią. Prawdzicki, chceszli żebym cię nie nienawidził, zaniechay twych pytań, a ieźli chcesz żebym cię kochał, opuść mnie.

MAIOR.

Wſtydź się! Iak to losy człowieka i naystalszego poniżyć mogą; proszę cię obudź twardym letargiem uśpione wyobrażenia słodyczy ubiegłey przeszłości; przypomniey sobie, owe wesoło przepędzone dni w Alsacyi, gdyśmy odrywaiąc się od wszyſtkiego co nas otaczało, samotnie ramie w ramie, po wałach Strazburga albo nad brzegami Renu błądzili. — W tych błogosławionych chwilach zawiązane zoſtały, węzły przyiemne, ktore dusze nasze, nazawsze złączyły; w tych szczęśliwych momentach, udarowałeś mnie tym pier-

ścieniem, na znak przywiązania ; przypominasz ieszcze to sobie?

NIEZNAIOMY.

Za coż nie ?

MAIOR.

Stałemże się od tego czasu, niegodnym zaufania twego.

NIEZNAIOMY.

Nie Prawdzicki.

MAIOR.

Byliżeśmy kiedy przyiaciołami godziny iedney z handlu, z widzimi się przez wspolne uciechy, lub hulania ? Alboż nie walczyliśmy na basztach obok siebie przeciw grotom śmierci. Przyiacielu ! boli mnie, iż prawa ktore mam do ciebie, ważnemi uczynić przynaglony iestem, pamiętasz tę bliznę.

NIEZNAIOMY.

Bracie był to zamach szpady, ktory miał mi głowę rozwalić; nie zapomnia-

łem o nim. Ach! niewidziałeś w tedy iak fatalny podarek mi dałeś!

MAIOR.

Mow zatym, proszę cię.

NIEZNAIOMY.

Ty mi w niczym pomodz nie możesz.

MAIOR.

Dzielić żal twoy będę przynaymniey.

NIEZNAIOMY.

Niechcę ia tego. Już sam od dawna łzy wylać niemogę.

MAIOR.

Day mi więc słowa, zamiast łez; iedne, i drugie, sercu ulgę przynoszą.

NIEZNAIOMY.

Serce moie podobne iest, długo zamkniętemu grobowi. — Dozwol więc niech zgniie, niech się roztoczy, co tam zagrzebanym zostało; pocoż go otwierać, i okolne zarażać powietrze?

MAIOR.

Należy go przeczyścić, ażeby budowla cała, inną na siebie przybrała postać. Jak ty wyglądasz? Zawstydź się, mąż tak rozumny; mąż twoich talentow, ktory zawsze w potocznym życiu, praktycznie oświeconey filozofii przepisy wypełniałeś, teraz będąc momentalnym igrzyskiem fortuny, takeś nisko nagięty; ieżeliś w łańcuchach w czarnym stękał lochu, ieżeliś od łotrow obdarty, ieżeliś wyszydzony został, ieżeliś niesprawiedliwą pognębiony, był kiedy przemocą, przecież nie mogę ci darować tey słabości charakteru, ktorą dziś w tobie z zadumieniem odkrywam.

NIEZNAIOMY.

Krzywdzisz mnie Prawdzicki, mniemałem wprawdzie iż obojętnością dla mnie iest i bedzie zawsze, co tam iaki człowiek na świecie o mnie myśleć może; ale w tym momencie czuie, że mnie to ieszcze dotyka. Przyiacielu! nie oddalisz się więc, od znikaiącego iuż

cienia przyiaciela ; bez dokłdney wiadomości, iak go, wiszące nad nim przeznaczenie boleśnie katowało, iak mu do wszyftkich uciech życia tego srodze przeszkadzało ? Bracie ! ciebie i woyfko francuzkie, iak wiesz opuściłem. — Od tey minuty; pomyślność uciekła przedemną. Zachciało mi się powrocić do miłey Oyczyzny, i do ziemi mych przodków: o iak śliczne obrazy kreśliłem sobie, w owym słodyczy pełnym omamieniu ; iak ia tam żyć, iak ia kochaney Oyczyznie,z całych sił maiątkiem i życiem służyć miałem. — Nieieden ftary, i wkorzeniony przesąd poprawić, nie ieden głupftwa zabobon, w ciemney mgle wiekow kryiący się, z sromotą iego obalić zamyślałem. Ach! komu własna spokoyność ieft miłą, nieważ się dotykać ludzkich przesądów! Prześladowano mnie, celem zoftałem pocifkow nienawiści, i grubey niewiadomości, wytrąbywano mnie, iako niebespiecznego człowieka ; dowcip ma, mowiono wszędzie, ale złe serce, martwiło mnie to,zamilkłem nic więcey nie ganiłem, chwaliłem wszyftko, ubiega-

łem się za ufnością ludzi nadaremno. Nie mogli mi oni zapomnieć, zem kiedyś chciał bydź mędrszy od nich. Wszedłem sam w siebie, sam sobie wystarczyłem, i żyłem samotnie w srodku stolicy; miłość atoli do kraiu, nie pozwoliła mi żyć długo w bezczynności. Poszedłem w woysko zrobiono mnie pod pułkownikiem, przez wzgląd, iż cokolwiek w rzemiośle woiennym przećwiczony byłem. Odprawiałem służbę punktualnie i gorliwie, bez nadskakiwania wyższym, bez wyciągania nadgrody. Pułkownik moy umiera, wielu bardzo podpułkownikow znaydowało się, ktorzy dawniey odemnie służyli. Jednego z tych na wakuiący stopień oczekiwałem, i w tym razie, niebyłbym się w cale za pokrzywdzonego osądził. Bynaymniey, szef moy Pan maiętny, i wielkiey dla złota wziętości, pieścił uboku swego metresse, ta dalekiego miała krewnego, młodzika nie rostropnego i gapia, ktory ledwo od połroku mondur przyodział; ten został moim pułkownikiem. — Konsekwencya wypada, że abszeit moy żądałem, i otrzy-

małem. Żarcik ieden i drugi, nad wpływem Jeymości w rządy komendy, rozdraźniły tym bardziey pychę, przeszłego szefa moiego, byłby mnie zdeptał, i zgnębił, gdybyśmy w orientalnym iakim nie w wolnym żyli narodzie; a tak święta rowność szlachecka, wstrzymała przecię zapędy iego, przestał na tym, iż mnie gdzie mogł, tam prześladował. Opuściłem wnet stolice, udawszy się na prowincyą; wszystko zrazu szło mi iak z spłatdka; znalazłem wnet przyiacioł, ktorzy mi się lizali, pieniądze z worka mego pożyczali i wino moie wypiiali; nakoniec znalazłem także i żonę, niewinne, cudowne stworzenie, w piętnastym ledwo roku wieku. — O iakem ią kochał! w ten czas byłem szczęśliwy. — Powiła mi syna i corkę. oboie natura pięknością matki upiętnowała; o iakem żonę i dzieci moie kochał! w ten czas, w ten czas byłem prawdziwie szczęśliwy. (*Oczy sobie ociera.* Patrz, oto, ieszcze łza iedna, anim się iey spodziewał. Witam was dawni przyiaciele! iużeśmy

się

się dawno nie widzieli. Słuchay, wnet zakończę w kilku słowach wiele nieszczęścia zawrzeć można. Jeden z przyiacioł moich, ktorego za poczciwego człowieka wziąłem, oszukał mnie, i połowę wydarł maiątku. Zniosłem ten cios, określiłem się w domu, kto z tego, co posiada kontent, mało potrzebuie, wnet inny ziawił się przyiaciel, młodzieniec, ktorego polubiłem, i kredyt m moim podzwignąłem, ten podszedł zdradziecko żonę moią i umknął z nią, nie dosyćże na tym? Powiedz byś mi odstrychnienie się moie od ludzi, i od świata wybaczył? Czyliżem fantastyk, ktory milionowe sobie w głowie trafy roi, kiedy nikt o nim nie myśli albo czyliżem ofiarą gwałtu cudzego? Dałby Bòg! despota w kaydany tylko kuć może, i zabić, ale coż są kaydany i śmierć w porownaniu, z niewiernością nayukochańszey żony?

MAIOR.

Ktora ciebie niegodną była; wstydź się, grześć dla dobrey żonki, iuż

ieſt nieroſtropnością, wylać zaś, i iedną łzę, dla złey żony, nazywam szaleńſtwem.

N i e z n a i o m y.

Nazyway sobie iak ci się podoba; mow co ci się zdaie, serce nie idzie, za wielomownością rozumu. Ach! kocham ią ieszcze i dotąd.

M a i o r.

J gdzież się teraz znayduie?

N i e z n a i o m y.

Niewiem, i wiedzieć niechcę.

M a i o r.

A dzieci twoie?

N i e z n a i o m y.

Zoſtawiłem ie tu w pobliſkim miaſteczku, u mieszczki wdowy iedney, ktora mi się dość cnotliwą zdawała, bo głupią dosyć była.

M a i o r.

Już znowu ſtyra, znowu potwarz

na ludzkość. Czemużeś dzieci przysobie nie zatrzymał, byłyby ci nie iedną, długą skrociły godzinę.

N i e z n a i o m y.

Naco? żeby mi ich podobieństwo z matką codziennie widok utraconych uciech wskazywało? Nie; niewiedziałem ich przez lat trzy, niechcę mieć nikogo około siebie, ni dziecka, ni starca. Dziecko wzrasta na złoczyńcę, starzec uzupełnionym iest zbrodniem; temu ktoregoś dopiero widział, dzieci moie powierzyłem, przywiązał się do mnie, i bywa umnie czasami. Lecz gdyby nie konieczna potrzeba, i tego bym odpędził chociaż między złemi, nie iest naygorszy.

M a i o r.

Z tego wszystkiego com słyszał, stan małżeński obrzydnąć by mi powinien. Lecz przyiacielu, wszystko zależy od widoku, widzisz mnie, pałaiącego chęcią ożenienia się.

NIEZNAIOMY.

Ty się chcesz żenić, ha, ha, ha.

MAIOR.

Zobaczysz ią, poydź zemną; familija moia, oczekuie cię z upragnieniem.

NIEZNAIOMY.

Kto? Jabym znowu miał między ludźmi się tułać? Niedosyćże iuż iasno myśl moią wyłuszczyłem ci.

MAIOR.

Prawda, iednak byś wszelką delikatność sentymentu obraził, gdybyś przynaymniey na wieczerzą do szwagra mego nie przyszedł; wyświadcyć komu dobrodzieystwo, i nie wyciągać wdzięczności, pięknie to iest i szlachetnie, ale przed dziękczynieniem tak umyślnie uchodzić, żeby dobrodzieystwo drugiemu ciężarem zostało, iest to wierzaymy affektacyą martwiącą innych.

NIEZNAIOMY.

Do mnież się to ściąga?

MAIOR.

Z serca wierzę, że nie w tym iesteś przypadku, gdyż znam cię dobrze, lecz uważ sam, co moi o tobie pomyślą. Piękne bywaią rzeczy na świecie, z ktoremi iednak za daleko zapędzać się nie trzeba.

NIEZNAIOMY.

Przyiacielu, bywaią też rzeczy na świecie, o ktorych łatwiey perorować można, aniżeli one wykonać. Gdybyś wiedział iakimi wstręt, każda twarz nieznaioma czyni, iak bym sto razy wolał na szpilkach siedzieć a niżeli na poduszkowych krzesłach, wśrod waszych koł eleganckich. O zostaw mnie, zostaw wspokoyności. Człowiek poczciwy szuka własne sobie utworzyć koło, ktoregoby punktem średnim on sam był, tak i ia żądam poki ieszcze głos ptaka w tey tu da się słyszeć krzewinie, a poty na towarzystwie zbywać mi nie będzie.

MAIOR.

Uczyń iutro, lub po iutrze, coci się

podoba, ale spełniy dziś znami kielich wina.

NIEZNAIOMY. (*Zimno.*)

Nie, nie.

MAIOR.

J w tedy nie? gdybyś iedną wizytą twoią może był w stanie szczęście przyiaciela twego utwierdzić?

NIEZNAIOMY. (*Z zastanowieniem.*)

Na ten czas poszedłbym może, ale słucham, w czym by to takim?

MAIOR.

Musisz bydź światem moim u Pani. Betty.

NIEZNAIOMY.

Ja? Dobry przyiacielu, ieżeli przed czasem, do podobnych zleceń miałem potrzebne przymioty, iuż te oddawna zardzewiały.

MAIOR.

Nie, uważ, kocham rzetelnie; a mi

łość moia, owocem ieſt szacunku. Doſkonała kokieta, a kiedy przed nią ſtoię, o wszyſtkim z nią gadać mogę, procz tylko o moiey miłości. Taki ma wzrok w sych oczach, taki wzrok, ktory ięzyk wiąże. Sioſtra moia w prawdzie, moy intereſs wzięła na siebie, lecz niewiem czyli się iey uda; pochwały iey, nadto się zdawać będą parcyalne. Ty przeciwnie. . . twarzy tak wybladłey, tak kwaśney, natychmiaſt się uwierzy. Przyiaciełu gdybyś przed nią kilkoro cnotek moich, i dobrych ſkłonności, chciałſ wystrychnąć.

NIEZNAIOMY.

O otoż znowu człowiek, ktory chce abym oszukiwał.

MAIOR.

Zaklinam cię, idzie tu o dobro twego naywiernieyszego przyiaciela, poſtaram się dla ciebie, o sposobność mowienia z nią sâm na sam. . Uczynisz to?

NIEZNAIOMY. (*Po chwili.*)

Uczynię ale pod warunkiem.

MAIOR.

Mow.

NIEZNAIOMY.

Żebyś mi bez przeciwienia się dozwolił z tąd wyiechać.

MAIOR.

Odiechać dokąd?

NIEZNAIOMY.

Gdzie mnie oczy zaprowadzą między ludzi, ktorzy mnie nieznaią.

MAIOR.

Uparty, zapamiętały!

NIEZNAIOMY.

Obiecuiesz? Albo w cale nie poydę.

MAIOR.

Niech iuż tak będzie, obiecuię, może twoie wyobrażenia ze wschodem

słońca mniey będą posępne. (*Podaiąc mu rękę.*) poydź więc zemną.

N I E Z N A I O M Y.

Muszę się przecież cokolwiek lepiey ubrać.

M A I O R.

Oczekuiemy cię zatym, za kwadrans dałeś mi słowo.

N I E Z N A I O M Y.

Dałem ie.

M A I O R.

Byway zdrow, czekamy cię wszyscy. (*Odchodzi.*)

SCENA III.

NIEZNAIOMY DOZORCA.

NIEZNAIOMY. (*Przeszedłszy się kilka razy, głęboko zamyślony i ponury, stawa na koniec i woła.*)

Jeſt tam kto?

DOZORCA. (*Nadbiega.*)

Jeſtem?

NIEZNAIOMY.

Jutro iedziemy.

DOZORCA.

Jak się podoba.

NIEZNAIOMY.

Może w inszy kray iaki.

DOZORCA.

Idę za Panem.

NIEZNAIOMY.

Może i w inną część świata.

DOZORCA.

J tam go nie odstąpię.

NIEZNAIOMY.

Uciekamy, z tego tu wypolerowanego, i moralnego więzienia. Słyszysz iutro iak nayraniey; skarb naydroższy w tych stronach ukradziono mi, spokoyność; precz więc z tego tu siedliska dolegliwości, między nieznaiome twarze, do inney części świata. Może rozliczność widokow, uśmierzy ucisk moy wewnetrzny; może błądząc po piaskach, stopą chciwych Europeyczykow do tąk niezwiedzonych, legniemy gdzie pod strzałami hordy iakiey dzikiey, a tak wszystko się razem zakończy; może po znoiach trudach i niewczasach, trafiemy na reście na ląd iaki, gdzie wolny spoczynek, i szczęśliwość znaydziemy. Niechay o mnie ludzie co chcą gadaią, niech mowią żem zapalona i romansowa głowa, coż z tąd? Gardźmy niemi, uciekaymy odnich; o! iutro iak nayraniey pamiętay.

DOZORCA.

Bardzo dobrze.

NIEZNAIOMY.

Czekay ieszcze, wyznay szczerze, chceszli dzielić ze mną trudy podrożne? Mow może szczęścia twego, gdzie indziey szukać pragniesz, może obmierzłem iuż tobie.

DOZORCA.

J owszem szczęśliwy będę, ieżeli pozwolisz Panie towarzyszyć sobie.

NIEZNAIOMY.

Dobrze więc, teraz tylko ieszcze iedna mała praca zostaie dla ciebie. Pospieszay do pobliskiego miasta i przywieź z sobą dzieci moie; przed zachodem słońca możesz bydź z powrotem.

DOZORCA.

Po tak długim nie widzeniu, znowu ie tedy zobaczysz.

N I E Z N A I O M Y.

Zobaczę.

D O Z O R C A.

Czemużeś ie Pan do tych czas widzieć niechciał?

N I E Z N A I O M Y.

Spiesz się, spiesz nie obarczay mnie niepotrzebnemi pytaniami.

D O Z O R C A.

Idę iuż idę, uwinę się iako nayspiesznicy.

SCENA IV.

NIEZNAIOMY SAM.

Wezmę ie z sobą, przyzwyczaię się patrzeć na nie. Niechcę żeby tak niewinne ſtworzenia, ſtrute zoſtały iadem złego obcowania; sam te młode la-

toreale pielęgnować będę; wolę raczey, żeby sobie na iakiey odludney wyspie, łukiem i ftrzałą pokarm codzienny zapolowali, albo iak Hottentoci w kąt iaki w tłoczywszy się, końcowi nosow swoich przypatrywali się; lepiey ieft nic nie robić, a niżeli złe O! iak nieroztropny byłem dzisiay, pozwolić tak twardą na sobie wymusić obietnicę, ieszcze raz między ludzi, między te małpie twarze, pokazać się? A do tego iak świat, ha, ha. Niech i tak bedzie tyle iuż ucierpiałem, za coż niemam dla przyiaciela iedną złą godzinę więcey w kalendarz życia mego zapisać? *(Odchodzi.)*

SCENA V.

Pokoy w Pałacu.

CIEMNOWIDZ i JAKOB.

CIEMNOWIDZ

Poydzie podobno z wiatrem moy proiekt.

JAKOB.

Jaki?

CIEMNOWIDZ.

Ciebie się tycze, Pani Betty nadto coś nosa wysoko zadziera.

JAKOB.

J coż z tego?

CIEMNOWIDZ.

O to że tobą pewnikiem wzgardzi.

JAKOB.

Jak to wzgardzi?

CIEMNOWIDZ.

Mieć ciebie nie będzie chciała,

JAKOB.

Dla czego? moy oycze.

CIEMNOWIDZ.

Mało ieszcz widzisz moy synu.

JAKOB.

Ja widzę tyle, co i W Pan oycze.

C i e m n o w i d z.

Ten Pan Maior zdami się, że iey wprzod w oczy, a iak pomiarkowałem, to by go Jeymość, wysokie tony lubiąca z niczym nie odeszła.

J a k o b.

Kiedy tak rozumiem; ale ktoż tego iest przyczyną?

C i e m n o w i d z.

Państwo nasze. Piekniesz to było dzisiay na Pana Jenerała? Ledwo co za prog przeszedł, leci obces na nią, a żeby ią uścisnął, właśnie iak gdyby rowienniczką iego była. To samo i Pani Jenerałowa obiaduie z Państwem, chodzi na spacer z Państwem, i teraz o to siedzi w ich gronie, przy herbatnym ſtoliku; iak to niema w humor wprawiać Panią Betty.

J a k o b. (*ktory nadchodzącego Maiora widzi.*)

Cicho.

SCENA VI.

MAIOR CIZ SAMI.

MAIOR. (*ktory wchodząc nazwisko słyszy Pani Betty.*)

Coż to? zdaiemi się że tu była mowa o Pani Betty.

CIEMNOWIDZ. (*Zagadniony.*)

Tak, quasi tak, i była, i nie była.

MAIOR.

Jakobie, idź i powiedz siostrze moiey, iż życzyłbym sobie mowić z nią, iak herbatę zdeymą zestołu.

JAKOB. (*Odchodzi.*)

MAIOR.

Moznaż się dowiedzieć, o czym była mowa?

CIEMNOWIDZ.

Mowiliśmy tak i owak, o tym i o o-

wym. Jam mowił do syna moiego, że każdy człowiek ma swoie wady, a on odpowiedział mi, prawda.

MAIOR.

Maż to bydź wyftępem do błędow i słabości Pani Betty, ciekawy ieftem więcey się dowiedzieć.

CIEMNOWIDZ.

Tak to niby Pani ta ieft zaprawdę, arcy dobra kobieta, ale iednak nie ieft aniołem iako ftaremu, i przywiązanemu słudze dworu Pana Jenerała, powinnością bydź moią sądzę, wszyftko Pańftwu do ucha poszepnąć, co tylko dochodom iaki uszczerbek, lub ftratą przynosi.

MAIOR. (*Ciekawie.*)

J coż tedy.

CIEMNOWIDZ.

Pan Jenerał, naprzykład będzie rozumiał, iż on tam ieszcze ma w piwnicy 40. lub 50. butelek owego ftarego węgrzyna, co to Pan Dobrodziey, zna

także bez wątpienia, tak niech na niego apetyt nie ostrzy, ledwo 10. albo 15. ieszcze bydź może. Po moim ięzyku, gotowem przysiądz, i kropla iedna nie spłynęła, a nawet w uroczyste święta.

MAIOR. (*Z uśmiechęm.*)

Pani Betty, pewnie go też nie wypiła.

CIEMNOWIDZ.

Ona sama, zapewnie że nie, bo nie piie wina, ale niech że na wsi chory iaki się znayduie, ktoryby się iednym łykiem gorzałki mogł pokrzepić; ona mu natychmiast, butelkę tego, tak przedniego wina posyła. Czyniłem iey nad tym pokilkokrotnie reflexye, ale ona zawsze mi krotko, i zwieźle odpowiada Już ia sama odpowiem.

MAIOR.

J ia kochany Panie ekonomie.

CIEMNOWIDZ.

Mnieysza oto, mnie to mało obchodzi.

Przez dwadzieścia lat zarządzałem piwnicą a żaden ubogi i kropli wina odemnie nie dostał, ale Pani Betty kiedy ziedney strony rozruca, z drugiey znowu nie dorzecznie oszczędza: słuchay Pan tylko, gdym roku przeszłego list z Węgier odebrał, w ktorem mi dobycie szturmem fortecy Novi przez feldmarszałka Laudona doniesiono, chciałem, iako bywszy niegdyś żołnierz Cesarski, nad pobiciem zaciętych pogan, wesołość moię okazać, był u mnie właśnie Xiądz pleban, i altarysta, chciałem z niemi w radości serca, parę butelek owego to wina wyciągnąć; wystaw sobie W Pan Dobrodziey, podłym mnie francuzkim winem odprawiła.

MAIOR.

Rzecz niesłychana!

CIEMNOWIDZ.

Słowem, nie można wcale z tey kobiety bydź mądrym, my się wprawdzie dosyć dobrze z sobą znosiemy, gdyż mò-

wiąc między nami Mci Panie Maiorze, rzuciła oko na moiego Jakoba.

M a i o r. (*Z uśmiechem.*)

Doprawdy?

C i e m n o w i d z.

Och! moy Jakob, miluchny chłopczyna, uczył się pisać u bakałarza, ieśliby W Panu chciało się wiedzieć probkę charakteru, pokaże natychmiast, malnie litery, że lepiey nie można.

M a i o r.

Na inny raz kochany Panie Ciemnowidzu, na inny raz, teraz kłaniam się W Panu. *Ciemnowidz kłania się nie odchodząc, Maior zaś przeziera w książce, ktorą na stoliku znalazł.* Znayduię tu bardzo interesuiącą książkę, prawdziwie muszę ią przeczytać, bywaj W Pan zdrow.

C i e m n o w i d z. (*niedomyślaiąc się chęci Maiora.*)

Uniżony sługa.

MAIOR.

Panie ekonomie, chciałbym się sam zostać.

CIEMNOWIDZ.

Wychodzę na rozkazy łaskawego Pana. Gdyby Panu czas był kiedy przydługi, a Pan sobie życzył, nayświeższe, i naynowsze o woynie i pokoiu wiedzieć nowiny, racz się Pan, do mnie tylko udać, ia miewam listy.

MAIOR.

Dobrze, dobrze.

CIEMNOWIDZ. (*Odchodząc z wielu ukłonami.*)

Miewam listy z Bannatu, listy z granicy Tureckiey, listy z Rossyi, listy z Paryża, i z Chin nawet. *Odchodzi.*)

MAIOR.

Nie znośny gaduła; ale że naywięcey o Pani Betty wspominał chętnie, wielemowstwo iego, przabaczam mu

SCENA VII.

MAIOR i JENERAŁOWA.

JENERAŁOWA.

Dalibog ci, zozkochani rozumieią, iż się głodu, i pragnienia nie zna, bo się sami rożową wonnością i xiężycowym światłem nasycaią. Ledwo co filiżankę herbaty wypiłam, a iużci Pan brat, wołać mnie każe, i coż się znowu ma do rozkazania?

MAIOR.

Czy możesz się pytać? Mowiłażeś z nią?

JENERAŁOWA.

Tak iest.

MAIOR.

Więc. . . .

JENERAŁOWA.

Nic.

MAIOR.

Nic?

JENERAŁOWA.

To się znaczy, bo ieżeli Pan brat, innego nie poszuka portu będzie musiał aż do schyłku życia, na otwartym błądzić morzu.

MAIOR.

Jestli zaślubioną?

JENERAŁOWA.

Niewiem.

MAIOR.

Jestli dobrego urodzenia?

JENERAŁOWA.

Powiedzieć tego niemogę.

MAIOR.

Może mnie nie cierpi.

JENERAŁOWA

Na to muszę ci zostać winną odpowiedź.

MAIOR.

Mocno zdziwiony ieſtem, nad twym ſioſtrzyńſkim przywiązaniem, przykładnym ieſt wcale. Dobrze że odpoczątku nie bardzo się na nim fundowałem; dobrze iż przyiaciela znalazłem, ktòry Panią siostrę zawſtydzi.

JENERAŁOWA.

Przyiaciela?

MAIOR.

Do usług, Nieznaiomy, ktory dziśiay mężowi twemu życie poratował, ieſt moy dawny przyiaciel.

JENERAŁOWA.

Jak się nazywa.

MAIOR.

Nie wiem.

JENERAŁOWA.

Jeſtli dobrego urodzenia?

MAIOR.

Powiedzieć tego nie mogę.

JENERAŁOWA.

Czy nadeydzie tutuy?

MAIOR.

Na to muszę ci winnym zostać odpowiedź.

JENERAŁOWA.

Nie znośny iesteś.

MAIOR.

A cha! zacoż własnego twego konceptu niechcesz słyszeć da capo?

SCENA VIII.

JENERAŁ, JENERAŁOWA, ELEONORA i MAIOR.

JENERAŁ.

Coż się to ma znaczyć? coż wy to o mnie wszyscy rozumiecie? Zawsze mnie samego z Panią Betty zostawuią a nie-

pamiętaią nato, iż serce moie, dalibog, nie iest z krzemienia; powtarzam W Pani; Pani małżonko, ieżeli się, tak ieszcze raz stanie, to iuż mam inpetto deklaracya miłości.

JENERAŁOWA.

Zapewne od kamerdynera uproiektowaną?

JENERAŁ.

Wybacz moia kochana, pożyczaną z iednego z podchwyconych iey miłośnych bilecikow.

JENERAŁOWA.

Więc iednak zawsze pożyczaną, tego się spodziewałam.

JENERAŁ.

Bynaymniey, ieżeli chcesz wiedzieć? Nareście, wypisaną z cukrowanego liściku, ktoryś odemnie przed laty dziesięciu odebrała w klasztorze.

JENERAŁOWA.

Powtornie zatym, tych samych wy-

razow chcesz użyć? To się nazywa dobra ekonomika, więcey tedy nic nowego powiedzieć nie umiesz.

JENERAŁ.

Boś mnie W Pani iuż wyczerpała.

JENERAŁOWA.

Smutne wyznanie, w przytomności nowey swoiey kochanki,

JENERAŁ.

Przeklęta kobieto iuż więcey z tobą nie zacznę. Panie szwagrze, iakże? przyydzie ow Nieznaiomy.

MAIOR.

Co chwila spodziewam go się.

JENERAŁ.

Brawo; znowu nowy gość do naszego, towarzystwa, na wsi nie można ich nigdy mieć nadto.

MAIOR.

Nieznaiomy ten, nie bardzo zgroma-

dzenie nasze powiększy intro rano wyieżdza.

J e n e r a ł.

Może go ta ochota ominie, iak zobaczy te twarzyczki; teraz Pani małżonko, teraz wszystkie wdzięki należy nastroić razem, nie wielka sztuka ocierać się, o starego iak ia małżonka, iuż ten aż nadto iest wywecowany; ale tak osobliwszy dziwak, oy, ostre kolce mieć musi; tam WPani po kołatay, tam. . . .

J e n e r a ł o w a.

Prawda, podobne odnieść zwycięztwo, zasługuie na nayusilnieysze starania. Lecz skoro Pani Betty przez cztery miesiące nic nie dokazała, coż ia dokazać potrafię?

E l e o n o r a. (*Żartobliwie.*)

Łaskawa Pani, niemiałam nigdy sposobności uięcia go powabami memi, prawdziwie, przez te cztery miesiące spirytualne było nasze obcowanie; bośmy się i razu iednego nie widzieli.

J e n e r a ł.

On dziwak, a W Pani dziwaczka.

C i e m n o w i d z. (*W biega.)*

Nieznaiomy Pan; życzy sobie mieć honor służenia Państwu.

J e n e r a ł.

Z serca, witam prosić go niech nadeydzie.

SCENA IV.

N i e z n a i o m y. (*Wstępuie do izby, z surowym weyrzeniem, i ukłonem.)*

J e n e r a ł. (*Idzie naprzeciw niemu z otwartemi rękami.)*

E l e o n o r a. (*Spoziera na niego, głośny wrzask wydaie i omdlewa.)*

Nieba!

N i e z n a i o m y. (*Rzuca na nią oko, strach i podziwienie widząc w twarzy iego, gesta nayżywsze, okazuią pomieszanie, wybiega z izby szybko.)*

J e n e r a ł o w a. i M a i o r. (*krzątaią się około Eleonory.)* Zasłona spada.

A K T V.

Pokoy w Pałacu.

SCENA PIERWSZA

JENERAŁ SAM. *Przechodzi się i muchy zabiia.)*

Niegdyś na ludzi w pole wyciągałem, teraz na muchy dzisieyszą kampaniią z nudoty w prawdzie otwieram, iak zwyczaynie Panowie czynić zwykli, kiedy nic lepszego przeesięwziąść nie umieią, cesarz Domician zabiiał także muchy, tak dobrze, iak i ia, z czego cały świat się śmieie; ale że Cesarz Karol wielki, ludzi zabiiał iak muchy, dla tego, że nie tak modlić się chcieli iak on, z tego nikt się nie śmieie, iednakże to moim zdaniem bardzo ieſt śmieszne. Dobry Dominicyanie, popioły twoie spo-

czywaią w pokoiu, dusze ubogich much, nie napastuią ciebie. Błogosławiony ten Cesarz, ktory bez ambicyi w zakątku swoim siedzi, ludzi uszczęśliwia, a muchy tylko zabiia.

SCENA II.

JENERAŁ CIENOWIDZ.

Ciemnowidz.

Mam honor zameldować J. W. Panu i Dobrodzieiowi że iedzenie na stole.

Jenerał.

Moy kochany, żebyś ty mi tam ieszcze na stoł, dwadzieścia pułmiskow naysmacznieyszych potraw postawił, nie wzbudzisz we mnie apetytu, poki mi go wprzod ludźmi nie obsadzisz. Spać sam ieden mogę z potrzeby, ale ieść sam żadną miarą niemogę; im więcey ludzi w oko-

w około mnie siedzi, im ogromniey pożeraią tym lepiey i mnie smakuie.

CIEMNOWIDZ.

W tym przypadku, mogę śmiało J. Wielmożnemu Panu Jakoba moiego zarekomendować, ten żre, iak gdyby z potrawami połmiſki chciał po połykać.

JENERAŁ.

Gdzieſz się bawią nasi? Pani Betty czy przyszła iuż do siebie? czy nie?

CIEMNOWIDZ.

Jak przechodząc koło drzwi, przez dziurkę zamkową do słyszeć mogłem, to iuż musiała przyiść do siebie. Coteż to tam było hałasu, wiele biegania? to po pachnącą wodkę, to po spirytus, to po biały proszek, to po to, to po owo, ludzie wszyscy poszaleli prawie; parę dzbanow zimney wody, wylać na głowę, to podług moiego sposobu leczenia, nayſkutecznieyszym ieſt lekarſtwem, na wszelkie mdłości. Dziwuie się tylko nad J. Wielmożną Jeymością

Panią Jenerałową i Wielmożnym Jmci Panem Maiorem. Z taką troſkliwością około niey się krzątaią, iak gdyby ta kobiecina do wysokiey familii J. Wielmożnego Pana należała.

Jenerał. (*Z uśmiechem.*)

Ktoż to wie?

Ciemnowidz.

Na poczciwość, mnie się zdaie, iż gdyby kiedy podobny casus zdarzył się ſtaremu i wiernemu słudze, ktory iuż lat 20. ma szczęście służenia J. Wielmożnemu Panu, żeby nieborak zemdlał, i połowa by tego niepowſtała hałasu.

Jenerał.

J Mnie się też właśnie tak zdaie.

Ciemnowidz.

A nikt iednak do tych czas, nie wie, kto ieſt ta kobieta; pisałem liſty na liſty, odbierałem odpowiedzi na odpowiedzi, a nikt z moich korrespondentow wiadomości mi dać nie może.

JENERAŁ.

Wiesz waść co? Ja ci dam dobrą radę.

CIEMNOWIDZ. (*Bardzo chciwie.*)

Słucham Panie Dobrodzieiu?

JENERAŁ.

Z dzisieyszego zdarzenia ciągnę wniosek, iż Pani Betty i ow Nieznaiomy dosyć się dobrze znać muszą; żebyś waść tylko o tym Nieznaiomym pewnieyszych mogł dosiągnąć informacyy, to w ten czas

CIEMNOWIDZ. (*Z ubolewaniem:*)

Ach! nayłaskawszy Panie czyliż dla tego pracy sobie nie wysłowioney na kark nie włożyłem; od czterech miesięcy, całe moie myślenie, i szperanie, nad tym ważnym zastanawia się punktem; ale to tam ciemność Egipska, nieprzeyrzany obłok, hieroglif nie docieczony. A mowiąc bez samochwalstwa, czego ia na dzień iasny nie wydo-

będę, w naygłębszych skrytościach musi bydź zagrzebanym na wieki; liczę korrespondentow i w prawo i wlewo, listami moiemi dosięgam wszędzie, a kiedy.

JENERAŁ.

Tak tak, a kiedy waść listow żadnych niemasz, to ie na ten czas sam zmyślasz.

CIEMNOWIDZ.

Między nami mowiąc, prawda i to iest J. Wielmożny Jenerale; ale coż, korrespondenci, częstokroć bywaią prożniacy.

SCENA III.

MAIOR CIŻ SAMI.

JENERAŁ.

Otoż, przecię nadchodzi choć ieden, ktory mi do stołu towarzyszyć będzie;

ale co to znowu za twarz tragiczna? Poydź W Pan Szwagrze, kielich szampana łykniemy na trwogę.

MAIOR.

Wybacz W Pan, ani ieść, ani pić nie chcę.

JENERAŁ.

Słuchay Maiorze; między wielu rzeczami na tym świecie, naybardziey tego cierpieć nie mogę, kiedy w domu moim wszyscy nie są weseli i ochotni. Gdybym był królem, uczyniłbym wszystkich poddanych szczęśliwemi, ileby w siłach moich było; kogo bym zaś nie mogł uczynić szczęśliwym ten by musiał za granicę ustąpić.

MAIOR.

Więc byś W Pan ludzi szczęśliwemi dla tego uczynił, żebyś smutnych twarz w około siebie nie widział.

JENERAŁ.

Nie inaczey,

MAIOR.

To ieſt maxyma bardzo egoizmem trącąca.

JENERAŁ.

Ach! kochany szwagierku, egoistami wszyscy ieſteśmy; ten mniey, ow więcey; ten egoizmowi swemu nago biegać pozwola, a ow mu płaszczyk przypina.

MAIOR.

Ja teraz nie ieſtem w humorze dysputowania z WPanem.

JENERAŁ.

Na inszy więc raz odłożmy: apropo coż, się z Panią Betty dzieie?

MAIOR.

Apropo? miluchne apropo.

JENERAŁ.

No, to więc, bez a propo, iakże się ma?

MAIOR.

Już się iey polepszyło.

JENERAŁ.

A przyydzie do stołu?

MAIOR.

Nie.

JENERAŁ.

A żona moia?

MAIOR.

Wątpię.

JENERAŁ.

Więc niech was wszystkich głod zamorzy. Poydź waść Ciemnowidz będziesz mi przy iedzeniu, kilka listow twoich czytał.

CIEMNOWIDZ.

Z naywiększym ukontentowaniem J. Wielmożny Panie. (*Odchodzą.*)

SCENA IV.

MAIOR SAM. *(Po małey pauzie.)*

O łudzące nadzieie! obrazy błogosławioney przyszłości! wyciągam ku wam ręce, a wy znikacie iak cienie. Już rozwiązaną została zagadka; żoną iest przyiaciela mego; dobrze więc nie zimną słow rozprawą, uczynkiem pragnę okazać to, o czym szwagier moy, tak mocno deklarował; bydź sam szczęśliwym nie mogę, lecz iest może w mocy moiey, dwie piękne dusze, rzadkim pogodzić poiednaniem; dusze ktore los zdradziecko rozerwał. Powstań Prawdzicki, małe i słabe umysły, płaczą nad spełznionem układami; ale mąż wyżey myślą sięgaiący, szlachetnym męztwem przezwycięża słabość, ktora go chce przygnieść do ziemi.

SCENA V.

JENERAŁOWA, ELEONORA. MAIOR.

JENERAŁOWA.

Wydźmy luba przyiaciołko, na świeże powietrze do zwierzyńca.

ELEONORA.

Zupełnie zdrowa iestem; żebyś się tylko WPani Dodrodzieyka o mnie tak czule, niechciała frasować, żebyś mnie raczey samą zostawiła.

MAIOR.

Nie, Pani moia, czas iest drogi, mąż iey iutro odiechać zamyśla. Pomyślemy wspolnie o środkach poiednania ią z zacnym małżonkiem.

ELEONORA.

Jakto? Mości Panie Maiorze zdaie? się iż W Pan, o dzieiach życia moiego uwiadomiony iuż iesteś.

M a i o r.

Tak ieſt, ieſtem o wszyſtkim uwiadomiony. Zacniewski od pierwsych lat młodości, był przyiacielem moim, obydway razem w woysku służyliśmy; od lat siedmiu byliśmy rozłączeni, trafunek znowu nas dzisiay na iedno zaprowadził mieysce, i serce iego otworzyło się przedemną.

E l e o n o r a.

Teraz to, teraz dopiero, naydotkliwiey czuię, co to ieſt nie bydź w ſtanie zniesienia wzroku uczciwego człowieka. O przezacna Jenerałowa! ukryy mnie przedemną samą. (*Zakrywa twarz na łonie Jenerałowey.*)

M a i o r.

Jeżeli żal nie zmyślony, i życie bez ſkazy na przebaczenie u ludzi zasługiwać nie maią, w cożby się nadal nasze obróciły nadzieie? Nie, iużeś W Pani dosyć ucierpiała. Wyſtępna zdrożność, na chwilę tylko zasypiaiącey cnocie panowanie w sercu iey wyrwała;

przebudzona cnota, iednego tylko spoyrzenia potrzebowała, aby ią z tamtąd wyſtraszyć; znam przyiaciela mego, myśli mocno iak mąż; czuie delikatnie, iak W Pani; spieszę do niego iako iey pełnomocnik; zagrzany ogniem przyiaźni, dzieło moie rozpocznę, abym ieżeli kiedy, na bieg życia mego wſtecz spoyrzę, nad dobrym iakim mogł się zatrzymać uczynkiem, ktory by mi w ſtarości radość, i ukontentowanie przynosił. Do zobaczenia. (*Chce odeyść.*)

ELEONORA.

Coż WPan znowu chcesz czynić Mości Panie Maiorze; nie, nigdy a nigdy, na to nie pozwolę, honor małżonka mego święty ieſt dla mnie; kocham go nie wymownie, ale nigdy bydź znowu iego żoną nie mogę, nawet gdyby chciał bydź tak dalece wspaniałomyślnym, i chciał mi przebaczyć.

MAIOR.

Czy wsamey rzeczy tak W Pani myślisz?

E L E O N O R A.

Proszę W Pana oszczędzić mi więcey pytania; nie iestem dziecięciem, ktore się kary lęka.

J E N E R A Ł O W A.

Ale kiedy małżonek W Pani sam zechce?

E L E O N O R A.

Nie uczyni tego; nie może tego uczynić.

M A I O R.

Ale kocha ią ieszcze.

E L E O N O R A.

Nie powinien, nie może. Musi serce twoie od podobney oswobodzić słabości, ktora go pohańbia i plami.

M A I O R.

Nie wyrozumiana kobieto; więc tedy W Pani żadnego dać mi niechcesz zlecenia?

E L E O N O R A.

Mości Panie Maiorze dwie tylko mam prożby, ktorych dopełnienie bardzo mi cięży na sercu. (*głosem zmiękczonym.*) Częstokroć kiedy w nadmiarze frasunku mego, o naymnieyszey powątpiewałem pociesze, stawało mi w myśli, żebym w tedy dopiero spokoynieyszą umarła, kiedybymi losy pozwoliły oglądać męża moiego; raz ieszcze przed zgonem, wyznać przed nim błędy moie, a potym na wieki oddalić się od niego. To więc iest pierwsza prożba moia; rozmowy minut kilku niechay mi pozwoli, ale niech sobie bynaymniey nie wroży, żebym naydrobnieyszey pragnęła chwycić się sprężyny, ku pozyskaniu przebaczenia iego; niech sobie nie wystawia, iż honor moy, z uszczerbkiem sławy imienia iego podźwignąć zamyślam. Drugą prożbą moią iest, uwiadomienie o dzieciach moich.

M A I O R.

Jeżeli ludzkość i przyiaźń cokolwiek nad nim mogą, zapewne i momentu nie

opuści zadosyć uczynienia iey woli; (*Kłaniaiąc się.*) spieszę do niego.

J e n e r a ł o w a.

Jdźmy za nim, usiądziemy pod cieniem w zwierzyńcu czekaiąc, aż zdobrą nadzieią i pociechą powroci.

E l e o n o r a.

O iak się ta rozliczność zdarzeń w sercu moim teraz krzyżuię; tu moy mąż, tam moie dziatki; tu znikłe roskosze i trwoga przyszłości; tam macierzyńſki affekt, i chęć dziatek oglądania. Ach! bywaią na świecie takie momenta, w ktorych się roki przeżyie; momenta ktore włos czarny, zdolne są zmienić na biały, i głębokie marszczki wyryć na czole, na ktorymby młodość kwitnąć powinna.

J e n e r a ł o w a.

To znaczy, że frasunek niszczy potężniey, niżeli wieki i ſtarość; ale podobnym chwilom, zdrogi uchodzić należy. Oddalmy się z tąd, idźmy za nim; przeydźmy się nieco, wkrotce i słońce

znaydzie ; podobny widok natury, rozwesela.

ELEONORA.

Prawda ; zachodzące słońce miłym iest widowiskiem dla nieszczęśliwych.

JENERAŁOWA. (*Odchodząc z Eleonorą.*)

Ktorzy iednak nadchodzącego poranku nigdy zapominać nie powinni. (*Odchodzą.*)

SCENA VI.

Teatr się odmienia tak iak na początku 4. aktu.

MAIOR SAM.

Pod słońcem iedna tylko iest para taka. Już dłużey rozłączeni bydź nie powinni ; musi iey wybaczyć ; ale rola, ktorą grać przedsięwziołem, nie iest

tak łatwą iak zrazu mniemałem; iakże mu odpowiem kiedy mi bałwan honoru wystawiać będzie; kiedy mnie spyta, czyli go na pośmiewiska i natrząsania wystawić pragnę? Coż mu odpowiem? przeciwko własnemu moiemu i powszechnemu przekonaniu? Boć w istocie prawdę mowić będzie, żona wiarę poprzysiężoną małżonkowi łamiąca, zakałem iest płci swoiey, przebaczyć takiey, iest chęć chańby iey dzielenia; ale ieszcze ona w sercu iego panuie, i na tym ia panowaniu, szczęśliwy koniec przedsięwzięcia moiego zakładam, to iest poiednanie ich z sobą.

SCENA VII.

DOZORCA (z dziećmi) OLEŚ WIKTOSIA, MAIOR.

OLEŚ.

Zmordowałem się.

WIKTO-

WIKTOSIA.

J ia także.

OLEŚ.

Daleko ieszcze do domu?

DOZORCA.

Zaraz w nim będziemy.

MAIOR.

Stoy! czyie to dzieci?

DOZORCA.

Dzieci Pana mego.

OLEŚ

Aczy to nasz oyciec?

MAIOR.

Słowko przyiacielu; wiem iż kochasz, Pana twoiego, po twoim odieździe, cudowne tutay nadarzyły się rzeczy.

DOZORCA.

Naprzykład.

MAIOR.

Pan twoy małżonkę swoią znalazł.

DOZORCA.

Ah! iak mnie to cieszy.

MAIOR.

Pani Betty.

DOZORCA.

Jest może iego żoną? Tym serdeczniey się raduię....

MAIOR.

Ale chce się od niey oddalić, chce ią porzucić.

DOZORCA.

Przebóg!

MAIOR.

Trzeba więc temu zapobiedz.

DOZORCA.

Bez wątpienia.

MAIOR.

Niespodziewany widok dzieci, możeby tey rzeczy inny dał pozor i obrot.

DOZORCA.

W iakiż więc sposob?

MAIOR.

Weź Malutkie, i skryy się z niemi, w tey tam chałupce nim połgodziny minie, więcey dowiesz się.

DOZORCA.

Ale.

MAIOR.

Proszę cię nie pytay wiele, czas nadto drogi.

DOZORCA.

Dobrze, dobrze. Poydźcie dzieci. *(Odchodzi z niemi do chałupy.)*

MAIOR.

Wybornie mały ten wybieg, wiele

dobrego mi obiecuie tam gdzie płacz pokorny, matki przeniknąć nie zdoła, tam uśmiech niewinnych dzieciąt, drogę utoruie do serca.

SCENA VIII.

NIEZNAIOMY MAIOR.

MAIOR. (*Idąc na przeciwko.*)

Winszuię ci szczęścia Zacniewſki.

NIEZNAIOMY.

Jakiego, wczym?

MAIOR.

Znalazłeś ią.

NIEZNAIOMY.

Wskaż ubogiemu ſkarb, ktory niegdyś posiadał i nazwiy go szczęśliwym, będziesz to rozsądnie?

MAIOR.

Czemu nie, ſkoro tylko od niego za-

leżeć może bydź tak powtornie bogatym iak niegdyś.

NIEZNAIOMY.

Rozumiem, posłańcem żony moiey iesteś; nic z tego nie będzie.

MAIOR.

Naucz się lepiey, sądzić o twey małżonce. Tak iestem posłańcem od niey ale bez naymnieyszey mocy zawarcia pokoiu ona ktora cię nie wymownie kocha, ktora bez ciebie nigdy szczęśliwą bydź nie może i niebędzie, ona zrzeka się przebaczenia twoiego, bowiem tak się tłomaczy: honor twoy, z podobną słabością zgodzić się nie może, a zatem. . . .

NIEZNAIOMY.

Żarciki, mnie się nie złowi.

MAIOR.

Zacniewski, namyśl się dobrze, osobliwsza kobieta.

NIEZNAIOMY.

Przyiacielu, chceszli żebym ci rze-

telnie opowiedział iak wszystko, iedno zdrugim iest połączone? Od czterech miesięcy mieszkam tutay wiedziała otem Eleonora.

MAIOR.

Wiedziała otym, ale dzisiay pierwszy cię dopiero raz zobaczyła.

NIEZNAIOMY.

Niech tem głupiego uwodzi; słuchay daley. Wiedziała przytem bardzo dobrze, że nie iestem łatwym do oszukania, subtelny przeto i głęboko utaiony, że tak rzekę spisek na mnie uknowała; udawała dobroczynną, tak iednak, że się zawsze o wszystkim dowiedzieć musiałem; udawała, pokorną, obyczayną, samotną, aby wzbudzić ciekawość moią i nakoniec dzisiay udaie hardą, odrzuca niby przebaczenie moie, aby mi tą kształtną, figlarną wspaniałomyślnością poiednanie, ktorem niby gardzi wywabić.

MAIOR.

Przyiacielu! słuchałem cię z zadzi-

wieniem nie małem; człowiekowi tylko ktory tak częſto na świecie oszukany zoſtał, wybaczyć można takie niedowiarſtwo; szkoda tylko, że tę całą tak przemyślną i paięczą budowę twoiey głowy i naymnieyszy wiatrek obalić może. Żona twoia wyraźnie i z ſtałością oświadczyła, iż przebaczenia twego nieprzyymie, i na ten czas nawet nieprzyymie, gdybyś sam tak daleko był słabym i chciał miłości honor poświęcić. Do czegoż zatem ow głęboko utaiony spisek? Mowiąc po szczeremu, podobną machineryą chyba twoia podeyrzliwa głowa ułożyć mogła.

NIEZNAIOMY.

Powiedz mi więc przynaymniey, dla czego nareście tu się znayduiesz?

MAIOR.

Dla więcey, niż iedney przyczyny. Nayprzod własnym moim imieniem iako przyiaciel dawnego mego wspolnika na woynie, przychodzę zakląć cię uroczyście, abyś małżonkę tę nie odpychał

od siebie albowiem Bòg świadkiem nie« znaydziesz nigdy iey podobney.

N i e z n a i o m y.

Nie zadaway sobie pracy daremney.

M a i o r.

Mowmy rzetelnie ; kochasz ią iesz« cze ?

N i e z n a i o m y.

Na moie nieszczęście!

M a i o r.

Jey nie zmyślona skrucha, iuż dawno zagładziła iey przewinienie; coż cię wstrzymuie, abyś znowu tak był szczę« śliwy, iak dawniey?

N i e z n a i o m y.

Niewiasta ktora raz śluby małżon« kowi potargać odważyła się, łatwo i drugi raz zbrodnią popełnić może.

M a i o r.

Nie tak myśli Eleonora. Daruy,

ieżeli większą cześć iey zapomnienia się, na ciebie samego zwalę.

N I E Z N A I O M Y.

Na mnie?

M A I O R.

Na ciebie. ktoż ci kazał, zaślubiać. tak młodą i niedochowaną Panienkę. Od męża lat 25 liczącego, ledwo pewnych żąda się prawidel, a ty ich szukałeś w stworzeniu kobiecem lat 14. maiącem? Ale mowmy o tem, zbłądziła, żałowała iuż dosyć, i wprzeciągu lat trzech tak się nie naganńie sprawowała, że i nayczarnieysza obmowa przez swoie szkło powiększaiące, żadney w tem słońcu skazy nie odkryie.

N I E Z N A I O M Y.

J gdybym nawet temu wszystkiemu uwierzył, iednakże bydź znowu moią powtornie nie może (*gorzko*) ha, ha, ha. toby to właśnie był przysmaczek, dla owych ufárbowanych kobietek, dla owych światowych kobietek, gdybym znowu z żoną moią uboku w posiedze-

niach ich się pokazał. O! iakby mnie wyśmiewać, do uszow sobie szeptać, palcami na mnie wskazywać zaczęły; o! śliczny by to był widok, gorszy od piekła samego.

MAIOR.

Tego więc nudnego towarzystwa odrzec się, nie będzie pewnie przyiaciela mego i iedno westchnienie kosztowało. Zdaie mi się że kto sobie przez trzy lata ciągle sam umiał wystarczyć, ten u boku maiąc Eleonorę śmiało życie swoie samotności oddać potrafi.

NIEZNAIOMY.

Domyślam się, spisek na mnie ukleciliście: zprzysięgliście się z sercem moim na przeciw głowie moiey, ale na prożno proszę cię Prawdzicki i słowa więcey, albo poydę.

MAIOR.

Dobrze, dopełniłem przynaymniey, iako przyiaciel obowiązku moiego. Teraz stawam przed tobą iako posłaniec od twoiey żony, uprasza cię

o ostatnie słow kilka, chce wziąść od ciebie pożegnanie na wieki. Tey pociechy odmowić iey nie możesz.

NIEZNAIOMY.

O! i w tem ukryte sidła spostrzegam. Podchlebiam sobie myśląc iż stałość moia przed iey łzami stopnieie, ale myli się: niech przyydzie.

MAIOR.

J niech ci da poznać, iak się wielce nad gruntem iey charakteru zawodzisz; idę po nią. *(Chce odeyść.)*

NIEZNAIOMY.

Jedno ieszcze; odday iey te kleynoty; są iey. . . .

MAIOR.

Sam to sprawić możesz. *(Odchodzi.)*

SCENA IX.

NIEZNAIOMY SAM.

Teraz Zacniewski, ostatni iuż moment życia twoiego zbliża się, ieszcze ią raz zobaczysz tę, do ktorey cała twoia dusza przylgnęła. O czemuż na przeciwko niey wybiec, do tego tak mocno biiącego serca przycisnąć iey nie mogę, i nie powininem; ah! wstydź się raczey nieszczęsny, także się to ma tłumaczyć obrażony małżonek; ale co mowię? Czuię że uroiona w muzgu mara, ktorą honorem nazywamy, w głowie się tylko nie w sercu naszym znayduie, ze stałością zatem, iuż raz ostateczny mowić z nią będę, zimno, ale nie ostro; strzeż się, żeby przymowka, lub zarzut iaki, z ust się twych nie wyśliznął. Tak iest, żal iey iest rzetelny, niech go, sobie iak chce tłomaczy moy mòzg podeyrzliwy. Los iey przynaymniey nadal musi bydź znośnieyszym; niepotrzeba iey będzie służyć dla kawałka powszedniego chleba;

żyć będzie nie podległą i ieszcze iey się tak wiele zostanie, że chęć dobroczynności zaspokoiać będzie mogła (*spoziera w koło siebie i z naywiększem pomieszaniem.*) ha! nadchodzi! zdeptana pycho, ockniey się, obrażony honorze, broń mnie.

SCENA X. *i ostatnia.*

NIEZNAIOMY, ELEONORA JENERAŁOWA, i MAIOR.

ELEONORA. (*Ktora powoli i drząca zbliża się do Jenerałowey ktora ią chce wspierać.*)

Zostaw mnie Pani łaskawa; niegdyś mi na siłach do zgrzeszenia niezbywało, Nieba udzielą mi dzisiay dosyć mocy do pokuty i żalu (*przybliża się do Nieznaiomego, ktorzy z odwroconą twarzą i w wielkim poruszeniu przemowy iey oczekuie.*) Mospanie Pułkowniku?

NIEZNAIOMY. (*Drzącym lecz wdzięcznym głosem, a zawsze prawie z odwroconą twarzą.*)

Czego ty chcesz o-demnie Eleonoro?

ELEONORA. (*Bardzo poruszona.*)

Ach nie; przebòg na to przygotowana nie byłam. Niestety! ten ton serce moie wskroś kraie; owo ty, owo usnościpełne ty... ah! nie nie wspaniałomyślny mężu twardego, groźnego tonu, dla ucha występney potrzeba.

NIEZNAIOMY. (*Stara się głosowi dać więcey mocy.*)

J coż tedy Mościa Pani.

ELEONORA.

Ach! gdybyś WPan sercu memu chciał ulgę uczynić, gdybyś się tak daleko raczył poniżyć, i chciał mi czynić zarzuty.

NIEZNAIOMY.

Zarzuty? Tu stoią wyryte na mey bladey twarzy, tu w moim zapadłem oku, tych zarzutow nie mogłem WPani

oszczędzić, ale usta moie, maią wzgląd na iey niedolę.

E L E O N O R A.

Gdybym zakamieniałą była w mey zbrodni, milczenie to, dobrodzieystwem dla mnie byłoby; ale iestem żałuiącą płaczącą nad występkiem, a wspaniałe to milczenie, ieszcze mnie bardziey w oczach moich poniża. Niestety! więc sama ogłosicielka hańby moiey bydź muszę; gdzieżbym bowiem spokoyność znalazła, gdyby to wyznanie z serca mego nie wyszło.

N I E Z N A I O M Y.

Żadnego wyznania, Mościa Pani; wiem o wszystkiem, i uwalniam ią od wszelkiego upokorzenia się. W Pani sama iednak uznasz, iż potem wszystkim, co się zdarzyło, my na wieki rozdzielić się musiemy.

E L E O N O R A.

Przekonana o tem iestem, i nie przyszłam też tutay przebaczenia u-

W Pana wyszlochać, naymnieyszey nie maiąc nadziei otrzymania onego. Są takie wyſtępki, ktore podwoynie plamią, kiedy się tylko pomyśli, że ie można całkowicie zagładzić; wszystko czego się spodziewać odważam, ieſt usłyszeć z uſt WPana to zapewnienie, że pamięci moiey nie zechcesz przeklinać.

N i e z n a i o m y. (*Zmiękczony.*)

Nie, Eleonoro, nie będę cię przeklinał. Miłość twoia w czasach pomyślnieyszych, tak rozliczne i lube roſkosze sprawiała dla mnie; nie, nie będę cię przeklinał.

E l e o n o r a. (*Z wielkim wzruszeniem.*)

Z wewntrzem uczuciem że nazwiſka WPana godna iuż nie ieſtem, od trzech lat inne i nieznaiome nosiłam; ale natem ieszcze nie dosyć, liſt rozwodowy mieć musisz, ktoryby go poſtawił w ſtanie obrania sobie godnieyszey małżonki, na ktorey łono niech

Bòg

Bòg naywyższe zleie błogosławieństwo. Do tego papier ten będzie potrzebny W Pani, zawiera w sobie wyznanie na pismie występkow moich. (*podaie mu go drząca.)*

Nieznaiomy. (*Bierze i zdziera go.)*

Niech bedą na wieki zgładzone; tak iest Eleonoro. tyś tylko sama w mym sercu panowała, nie wstydzę się podobne uczynić wyznanie i ty tylko sama wiecznie w nim panować będziesz. Przywiązanie twoie do cnoty i honoru przeszkadza ci korzystać z tey moiey słabości; a chociaż i tę słabość dla niesplamienia nazwiska moiego zwyciężę, nigdy iednak, nigdy inna małżonka Eleonory mieysca nie będzie mogła zastąpić.

Eleonora. (*Drząca.)*

Więc, nic, nic iuż więcey nie pozostaiemi iak pożegnać się z W Panem.

Nieznaiomy.

Czekay, ieszcze iedną chwilę. Przez

kilka miesięcy ciągiem nie wiedząc o tym, bardzo blisko siebie żyliśmy; wiele dobrego o W Pani słyszałem, serce iey stworzone iest tkliwym na niedostatek bliźniego. Cieszy mnie to; nigdy więc W Pani na sposobach zbywać nie powinno, ten piękny przymiot, ten w lany od natury instynkt świątobliwie dopełniać. J. Wielmożna Pani sama niedostatku nigdy cierpieć nie będziesz; papier ten zapewnia iey pensyą roczną dziesięciu tysięcy złotych.

ELEONORA.

Daruy mi W Pan. Praca rąk moich powinna mnie żywić; kawałek chleba łzami żalu skropiony, więcey mi spokoyności udzieli, niżeli przykra wiadomość, iż się panoszę maiątkiem człowieka ktoregom raz w życiu tak obelżywie zdradziła.

NIEZNAIOMY.

Weź W Pani, weź.

ELEONORA.

Zasłużyłam na tę pogardę, na to po-

niżenie; ale uciekam się do sposobu myślenia W Pana; ochraniay mnie, pofolgny mi W Pan.

NIEZNAIOMY. (*Na stronie.*)

O! Boże iaką mi zdrayca wydarł małżonkę. (*Chowa znowu papier.*) dobrze, szanuię iey powody i odstępuię żądania mego, iednak pod tym warunkiem, że ieźliby iey kiedy na czym brakować miało, ia byłbym naypierwszy, i szczegolnie ten, do ktoregobyś się rzetelnie i iawnie udała.

ELEONORA.

Przyrzekam to W Panu.

NIEZNAIOMY.

A teraz wolno mi będzie przynaymniey żądać żebyś sobie W Pani własność swoią odebrała. Te kleynoty. — (*oddaie iey puzderko.*)

ELEONORA. (*Otwiera ie i łzami skrapia.*)

Ach! ow słodyczy pełen obraz, ow pię-

Pij

kny wieczor, ktoregoś mi W Pan te kleynoty darował, dusza moia widzieć zdaie się przed sobą. Wieczora tego ſtary moy oyciec ręce nasze połączał, ia radosna wykonałam przysięgę wieczney ſtałości i wiary. Złamana ieſt; wtedy czyſte i niewinne posiadałam serce; nieſtety! uczucia teraz mnie przeymuiące, żadną i naydotkliwszą zgryzotą okupione bydź nie mogą. Pierścień ten darowałeś mi W Pan przed laty pięciu w dzień urodzin moich. Był to dzień szczęśliwy małą i wieyską uroczyſtość kazałeś W Pan odprawiać na ow czas; o iakżeśmy wszyscy weseli i radośni byli! Tę egretkę otrzymałam, kiedy Olesia mego, na świat wydałam. O iak mnie ciężko uciſka wspomnienie uciech ſtraconych, ktorych sama byłam zaboycą? Nie, tych kleynotow zatrzymać nie mogę, chybaby zamiarem WPana było przez widok ich, nieskończone mi przygotować zarzuty; odbierz ie W Pan nazad. *(Oddaie mu kleynoty wyiąwszy tylko egretkę.)*

NIEZNAIOMY. *(W rownym pomieszaniu umysłu iak Eleonora ktore iednak ukryć stara się, bierze kleynoty z odwroconą twarzą i chowa ie.)*

ELEONORA.

Ta szpilka, niech mi iedynie zostanie; pamiątką urodzenia Olesia mego.

NIEZNAIOMY. *(Na stronie.)*

Nie, iuż dłużey nie mogę wytrzymać. *(Obraca się ku niey, ton głosu iego nie iest grożny ni też pobłażaiący, nie iest twardy, ni słodki, ale między oboygiem utrzymuie się.)* Byway W Pani zdrowa.

ELEONORA.

O iedna tylko ieszcze minute proszę; na iedno szczególnie pytanie ieszcze odpowiedź; zaspokoy serce macierzyńskie. Żyią ieszcze moie dzieci?

NIEZNAIOMY

Żyią.

ELEONORA.

J w dobrym zdrowiu?

NIEZNAIOMY.

W dobrym.

ELEONORA.

Dzięki Bogu! Oleś moyy zapewne znacznie iuż podrosł?

NIEZNAIOMY.

Tak sądzę?

ELEONORA.

A Wiktosia, czy zawsze iest W Pana kochaniem?

NIEZNAIOMY. *(Ktorego cała ta rozmowa widocznie głęboko dotyka, milczy wśrod walki, między honorem i miłością.)*

ELEONORA.

O! wspaniały mężu! zaklinam W Pana, pozwol mi raz ieszcze oglądać dzieci moie; nim się rozdzielemy, bym ie do serca przycisnęła, bym im pobłogosławiła, bym w nich podobieństwo oyca ich ucałowała.

N i e z n a i o m y. (*Milczy.*)

E l e o n o r a. (*Pauzę wstrzymawszy się.*

Ach! gdybyś W Pan wiedział, iak w tych trzech ſtraśliwych rokach serce moie biło na samo ich wspomnienie, iak rzewne z oczow mych łzy wytryskały, ſkoro chłopca lub dziewczę, iednegoż z niemi wieku doſtrzegłam; iak czasami siedząc w przymroku, w cichym uſtroniu moim, czarodzieyskiemi bawidłami żywey fantazyi łudzona, to Olesia, to Wiktosię na moim kołysałam łonie. O! pozwol mi W Pan ieszcze raz ie zobaczyć, iedne tylko macierzyńſkie uciśnienie im oddać, a w tedy iuż na wieki rozłączemy się z sobą.

N i e z n a i o m y.

Chętnie Eleonore; tego ieszcze wieczora oczekuię dzieci moich; w bliſkim znaydowały się miaſteczku; wysłałem po nie, iednego z przywiązanych moich, w krotce będzie z powrotem;

daię W Pani słowo, że skoro nadiadą poślę ie do pałacu; tam niechay ieżeli się tak W Pani podoba, aż do iutrzeyszego poranku zabawią; potym biorę ie znowu z sobą. (*Pauza.*)

JENERAŁOWA. i MAIOR.
(*Którzy krokow kilka oddaleni z wewnętrznym uczuciem, całey rozmowie przysłuchiwali się ukradkiem znak sobie daią. Maior idzie do chałupy, i powraca z Dozorcą i dziećmi, oddaie chłopca siostrze swoiey, ktora za Eleonorą staie, sam zaś z dziewczęciem za Zacniewskim stawa.*)

ELEONORA.

J tak w tym życiu, lubośmy sobie nic więcey powiedzieć nie mieli. (*Zebrawszy wszystkie siły i odwagę.*) Bywaj W Pan zdrow szanowny mężu; (*Chwyta rękę iego.*) zapomniey W Pan o nieszczęśliwey, ktora W Pana nigdy nie zapomni. (*Klęka.*) Pozwol raz ieszcze tę rękę do ust moich przycisnąć, ktora niegdyś moią była.

NIEZNAIOMY. (*Podnosząc ią.*

Bez uniżoności Eleonoro. (*Trzęsie iey rękę*

rękę. (Byway W Pani zdrowa na zawsze.

E L E O N O R A.

Na wieki?

N I E Z N A I O M Y.

Na wieki,

E L E O N O R A.

Opuszczaymy się więc! ale bez gniewu, bez zaciętości.

N I E Z N A I O M Y.

Bez gniewu, bez zaciętości. (*Pauza.*)

E L E O N O R A.

A kiedy z czasem dosyć iuż wycierpię, kiedy się na innem lepszym świecie znowu obaczemy?

N I E Z N A I O M Y.

Tam nie panuią przesądy, tam znowu moią będziesz. (*Ręce oboyga leżą iedna w drugiey, spoyrzenia ich pełne czu-*

łości spotykaią się, powtarzaią drżącem ięzykiem ieszcze.) Byway zdrow, byway zdrowa. *Odrywaią się odsiebie, ale w tym gdy chcą odeyść, Eleonora na Olesia Nieznaiomy na Wiktosię uderza.)*

O ł e ś.

Matko moia.

W i k t o s i a.

Oycze moy.

(Oyciec i Matka milcząc, przyciskaią dzieci do serca.)

W i k t o s i a.

Kochany Oycze.

O ł e ś

Kochana Matko.

(Oyciec i matka oddzieraią się od dzieci, spozieraią na siebie wyciągaią ku sobie ręce, i ramie w ramie w padaią sobie.)

N i e z n a i o m y.

Mocnieysze są uczucia natury nad

przepisy honoru, Eleonoro! przebaczam ci.

JENERAŁOWA. i MAIOR.
(Podnoszą dzieci do góry, ktore się do rodzicow przyczepiaią.)

Zasłona upada.

KONIEC.